

Gazeta Sremska

3-4/2021

ISSN 1232-7476

dwumiesięcznik

marzec/kwiecień

XXXI

cena 5 zł

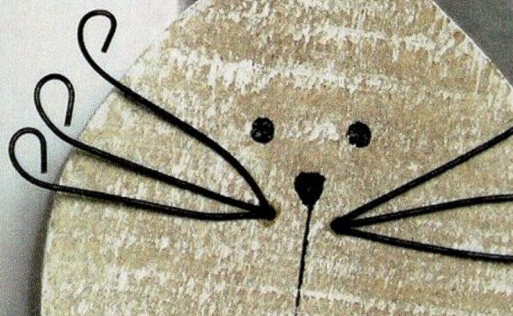


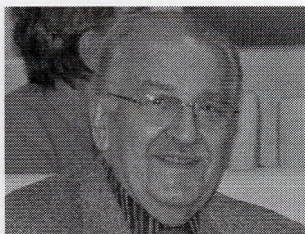


Święta Wielkanocne niosą ze sobą
cenne przesłanie o zwycięstwie dobra nad złem,
życia nad śmiercią i nadziei, która nigdy nie zawodzi.
Życzymy, by tegoroczne święta były spełnieniem miłości
oraz dały wiarę w nowe lepsze jutro!
Niech staną się źródłem umocnienia
i przyniosą zdrowie oraz pokój!

Katarzyna Sarnowska
Przewodnicząca
Rady Miejskiej w Śremie

Adam Lewandowski
Burmistrz Śremu





Współczesny Judym dr n. med. Wiesław Romanowski (1933-2021)

Znakomity lekarz, fachowiec, znany ze swojej judymowskiej postawy moralnej i społecznej. Ciepły, wyrozumiały i życzliwy człowiek – Wiesława Romanowskiego wspomina dr Barbara Siwińska.

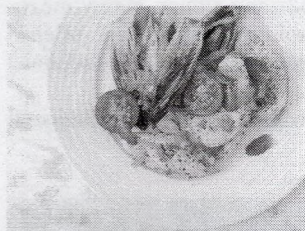
str. 08



Ersatz

„Życie w krainie mentalnego nizu. Zabiorą, wymienią, rozdadzą. Poczują, postraszą. Oceniają, posegregują...” Ersatz czy życie? – trudne pytania stawia Leszek Mańkowski.

str. 20



Na gorzko

„W amerykańskim filmie nazywałoby się, że zaprosił przyjaciół na kolację. Tymczasem jego goście byli w zasadzie przypadkową zbieraniną ludzi...” Polecamy kolejne opowiadanie Marty Tok.

str. 28

Spis treści

str. 02	Muzealne odkrywki: Powódź
str. 03	45 lat Muzeum Śremskiego
str. 04	Wyburzenie Malinki
str. 05	Stąpamy twardo po ziemi. Rozmowa z burmistrzem Adamem Lewandowskim
str. 08	Współczesny Judym
str. 10	Doniu. Wspomnienia o Edwardzie Nowakowskim (1937-2020) cz. 2
str. 13	Z pamiętnika starego: O Śremsongu
str. 16	Śremski epizod mojego życia
str. 20	Jestem, więc pytam: Ersatz
str. 23	Na tropach lodowca... Część 10. Krótkie podsumowanie na dalszą drogę
str. 28	Opowiadanie Marty Tok: Na gorzko
str. 31	Rzeczy minione: Chusteczka do nosa
str. 32	Sentymenty: Grosz do grosza
str. 34	Kwestionariusz kultury: Paweł Wawrzyniak

str. 36	Nasz Talent: Kamil Grelak
str. 38	Radio eL
str. 40	Kino niewidzialne: <i>Białe noce listonosza Aleksieja Triapicyna</i>
str. 42	Z górnej półki: Spleen i uroki prowincji
str. 44	Wszystko gra: Czy muzyka jest asemantyczna, czy semantyczna?
str. 46	Pory roku w malarstwie. Część 2 – wiosna
str. 48	Mój Rzym. Część 2
str. 51	B&B przez Ameryki: Latynoskie podejście do koronawirusa
str. 54	Okiem belfra: Nastoletnia cybersamotność
str. 55	Wieści z ratusza
str. 58	Muzeum – wydarzenia
str. 60	ŚOK – wydarzenia
str. 62	Biblioteka – wydarzenia

Katarzyna GWINCIŃSKA

Muzealne odkrywki

Powódź

Dzięki Michałowi Lorencowi wiemy, dlaczego Warta skręca w Śremie [„GŚ” 9-10/2019] i jak zaprzeszły się dzieje powstania owego zakola, pierwotnego w stosunku do osadnictwa, którego najdawniejsze ślady jesteśmy w stanie odnaleźć w najbliższej okolicy. Ta radykalna zmiana kierunku, dzięki której rzeka rozlewała się tu szeroko, tworząc płycizny i brody łatwe do pokonania, w średniowieczu była niezwykle korzystna dla przedsiębiorczych osadników i przewidujących książąt, a nawet późniejszych królów. W czasach, gdy nasza technologia nie nadążała za mobilnością kupców, system grobli i drewnianych mo-

stów przez złotodajne rozlewiska rzeki uczynił Śrem ważnym punktem szlaków handlowych. W zamian rzeka odbierała naszym przodkom „podatek od wzbogacenia”. Wylewała regularnie, najczęściej pod koniec marca. Od początku XX wieku mamy wiele fotografii tej pobieranej przez Wartę „kontrybucji”. Dzięki uprzejmości Pana Pawła Mikołajczaka, który udostępnił nam do zdigitalizowania rodzinny album, mamy możliwość zobaczyć absolutny unikat: Park Miejski w Śremie podczas powodzi, najprawdopodobniej w marcu 1940 roku.

Podwójnie przykry widok. Mimo to – dziękujemy!

Fot. z albumu fotograficznego Państwa Mikołajczaków obejmującego lata 40. i 50. XX w.



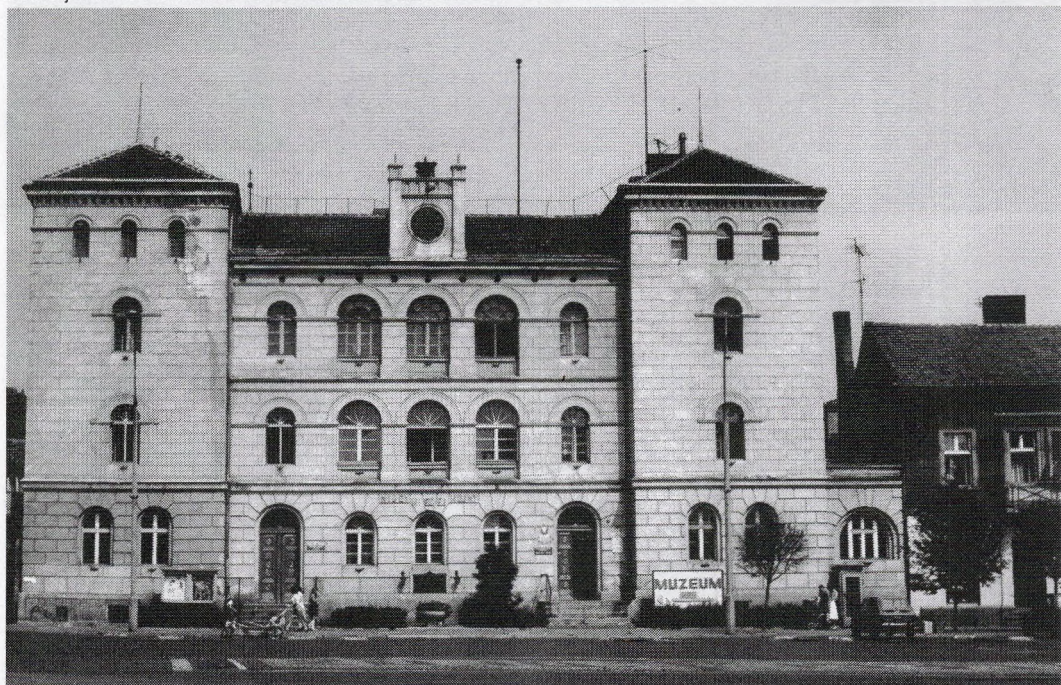
Ewa NOWAK

45 lat Muzeum Śremskiego

30 kwietnia 1976 roku otwarto dla zwiedzających Muzeum Śremskie. Dyrektorem nowo powstałego Muzeum mianowany został Kazimierz Zastawny. Zbiory pochodziły głównie z odkupionej przez miasto prywatnej kolekcji znanego śremskiego zbieracza i kolekcjonera Feliksa Sałacińskiego. Prezentowane były w stałych działach – archeologicznym, rzemiosła śremskiego, etnograficznym i historycznym.



Obok: Kazimierz Zastawny, pierwszy dyrektor MŚ
Poniżej: Muzeum Śremskie w Ratuszu. Fot. ze zbiorów MŚ



Ewa NOWAK

Wyburzenie Malinki

22 marca 1996 roku wyburzono, znajdujący się przy ul. Kilińskiego, na terenie byłej fabryki Stanisława Malinowskiego tzw. Malinki, piętrowy

budynek, który od lat siedemdziesiątych był siedzibą warsztatów szkolnych Odlewni Żeliwa.

Fot. Marek Pioch



Stąpamy twardo po ziemi

O wpływie pandemii na sytuację w gminie Śrem, o ograniczeniach i perspektywach oraz o trudnych relacjach samorządów z rządem z **burmistrzem Adamem Lewandowskim** rozmawia Mariusz Kondziela

Mariusz Kondziela: Rok 2020 przyniósł pandemię, która przewartościowała nasze życie, czy w związku z tym samorząd był skazany wyłącznie na centralne instrukcje, czy zastosowano rozwiązania specyficzne dla gminy, powiatu, szeroko rozumianego samorządu?

Adam Lewandowski: Wszystkich nas zaskoczył ten rok, zwłaszcza wiosna okazała się pełna obaw o przyszłość ludzi i całej wspólnoty samorządowej. Musieliśmy podporządkować się rygorom ogólnokrajowym, ale także wprowadziliśmy własne rozwiązania, na przykład informacyjno-komunikacyjne. Do obiegu komunikacji elektronicznej wprowadziłem codzienne dziesięciminutowe wystąpienia uzupełniające oficjalne, centralne komunikaty epidemiczne. Lokalnie podejmowaliśmy decyzje o ograniczeniach finansowych dotyczących inwestycji gminnych. Miejscowe uwarunkowania pozwoliły ograniczyć nasz program inwestycyjny do zamrożenia jednej inwestycji, modernizacji ulicy Sikorskiego, pozostałe zostały wykonane w terminie. Po drugie działa nasz system dotacji dla podmiotów działających w obszarze kultury, kultury fizycznej i pomocy społecznej. Wiele samorządów zrezygnowało całkowicie z realizacji umów w tym zakresie. My podjęliśmy decyzję o ograniczeniach finansowych rzędu 25%. Z szacunkiem przyznaję, że większość organizacji pozarządowych zajęła kompromisowe stanowisko i podeszła do nowej sytuacji ze zrozumieniem. Najbardziej spektakularne były restrykcje wobec śremskich instytucji kultury: Biblioteki, Ośrodka Kultury i Muzeum. Nieczynne kino uniemożliwiło wpływ środków finansowych na poziomie jednej trzeciej dotacji instytucji. Największe uszczuplenie dochodów zanotował Śremski Sport, wobec niemal całkowitego braku możliwości generowania

przychodów z działalności usługowej. My musieliśmy podejmować decyzje niepopularne, ograniczające wydatki, ale gwarantujące zrównoważone zamknięcie budżetu roku 2020 i umożliwiające stworzenie pokażnej nadwyżki budżetowej, którą zapewne skonsumujemy w bieżącym, również trudnym roku. Chciałem dodać, że olbrzymim wyzwaniem była realizacja procesów edukacyjnych. Sytuacja wymusiła konieczność przyspieszenia cyfryzacji w szkole, koniecznej do prowadzenia zdalnego procesu nauczania. W celu wyrównania szans uczniów musieliśmy, korzystając oczywiście z pomocy rządu, zakupić komputery i wyposażać w nie domostwa, gdzie ich brakowało. Pamiętajmy też, że zmianie musiał ulec cały system zarządzania gminą. Spotkania kierownictwa gminy z dyrektorami jednostek i naczelnikami odbywały się wyłącznie na drodze elektronicznej. Nie pozwoliliśmy sobie na całkowite zamknięcie Urzędu, zapewniliśmy dostęp naszym klientom, chociaż z oczywistej konieczności w dużym reżimie sanitarnym. Myślę, że sprostaliśmy wyzwaniom i choć pandemia się oczywiście nie skończyła, nabyte doświadczenia w zarządzaniu procesami kryzysowymi pozwalają z nadzieją patrzeć w najbliższą przyszłość.

M.K.: Zakończył się rok 2020. Początek nowego roku to zwykle czas podsumowań, sprawozdań, bilansów. Co przyniósł ten rok poza ograniczeniami i czy mimo tych ograniczeń można mówić o sukcesach w gminie, a nie tylko o ratowaniu sytuacji?

A.L.: Rozróżniłbym dwa obszary aktywności. Pierwszy to oczywiście walka z pandemią. Ten pierwszy nie mógł przykryć działań wcześniej zaplanowanych, podpisanych umów, realizacji projektów unijnych, projektowania kolejnych

etapów rozwoju. Ważne jest, aby zachować i rozwijać potencjał zarówno gminy jak również gospodarczą aktywność poszczególnych przedsiębiorców. Stąd rozmowy i działania prowadzące do powstania nowych podmiotów. W bieżącym roku rozpocznie się budowa kolejnej fabryki firmy Rehaui, rozbudowa firmy Leopol, powstaną nowe centra logistyczne w kierunku Zbrudzewa, a także, chociaż z oporami, bo jest pewne niezadowolone społeczne, fabryka elektrolitów Capchem. Będzie to miało duży wpływ na rynek pracy w Śremie, a tym samym na wpływy podatkowe do gminnej kasy. Pomimo, że od sześciu lat nie zdecydowaliśmy o podniesieniu podatku od nieruchomości, to rosną wpływy z tego tytułu. Wynika to z faktu, że realizowanych jest wiele nowych inwestycji. Rok 2021 otwiera kolejną przestrzeń inwestycyjną w gminie. Do tych czterech zasadniczych gminnych inwestycji przygotowaliśmy się od lat. Pierwsze to połączenie pieszo-rowerowe ze Zbrudzewem, z kładką poprzez Kanał Ulgi. Prace postępują energicznie i muszą zostać zakończone w bieżącym roku. Druga inwestycja to modernizacja stadionu miejskiego, którą zamknijemy najdalej do końca listopada. Pozyskaliśmy środki i będziemy budowali połączenie pieszo-rowerowe z Psarskim oraz ścieżki wokół zalewu. No i wreszcie konieczna, długo oczekiwana inwestycja – nowoczesny Cmentarz Komunalny. Wymieniłem cztery podstawowe programy inwestycyjne. Są oczywiście inne: amfiteatr nad jeziorem, drogi w Nochowie, Mechlinie i Mórce, rozpoczęcie rozbudowy Przedszkola nr 7. Inwestycje są nie tylko potrzebne użytkownikom, ale także podtrzymują obszar funkcjonowania gospodarki. W roku ubiegłym gmina Śrem zastosowała pakiety pomocowe dla przedsiębiorców. We wszystkich nieruchomościach, gdzie prowadzona jest działalność gospodarcza zwolniliśmy przedsiębiorców z opłat czynszowych i podtrzymaliśmy umowy za umowną złotówkę. W bieżącym roku najtragiczniej wygląda sytuacja gastronomii i hoteli, dlatego Rada Miejska podjęła uchwały wspierające tę działalność: przesunięcie płatności podatku od nieruchomości na 30 grudnia br., obniżenie opłat za ogródki gastronomiczne do 1 grosza za metr kw. W marcu Rada podejmie uchwałę zwalniającą punkty gastronomiczne z drugiej raty opłaty za koncesję na alkohol. Cały czas pracują

instytucje kultury. Ich działania można konsumować w Internecie. Konieczność zachowania dystansu ogranicza bezpośrednie kontakty kulturalne, ale instytucje kultury w Śremie proponują formy zastępcze. Biblioteka udostępnia księgozbiór w formie wypożyczeń, Muzeum pokazuje wystawy w przeszklonym pawilonie dostępne z zewnątrz i opracowuje programy popularnonaukowe. Wszystkie instytucje przygotowują ciąg kolejnych inicjatyw wydawniczych: *Działalność Towarzystwa im. Ks. Piotra Wawrzyniaka*, *Fundamenty śremskiej samorządności z perspektywy 30-lecia*, popularna historia śremskiego kina.

M.K.: Dotacje i subwencja oświatowa, która jest jedną z większych pozycji jakie gminy otrzymują od państwa, przez przedstawicieli rządu jest wskazywana jako tak dorodna, że można za nią wykonać dodatkowe prace, na przykład inwestycyjne. Czy takie samo wrażenie możemy odnieść w gminie Śrem?

A.L.: Oczywiście nie możemy odnieść takiego wrażenia. W moim 15-letnim doświadczeniu burmistrza nie spotkałem jeszcze samorządu, który nie dopłaca do utrzymania edukacji. Gmina Śrem do subwencji oświatowej, która przeznaczona jest u nas na prowadzenie szkół podstawowych dopłaca 20-25%. To jest poważna kwota sięgająca około 15-20 mln złotych rocznie. Zadaniem własnym gminy jest również prowadzenie przedszkoli, co kosztuje nas też około 20 mln złotych. Uznajemy, że jest to dobra inwestycja w przyszłość naszych dzieci i młodzieży. Obserwujemy zjawisko, że wszelkiego rodzaju dotacje z funduszu, który ma wspierać samorząd, a jest firmowany przez rząd, są trudno osiągalne przez gminy będące w dobrej pozycji finansowej, realizujące własne rozwiązania. Nie ma jasnych kryteriów przydziału takich środków finansowych. Odczuwamy to jako gmina Śrem, ale staramy się pozyskiwać środki z innych źródeł, w tym unijne. Pozyskujemy pieniądze z organizacji mogących wspierać zadania samorządów jak: Fundusz Ochrony Środowiska, Lider Zielonej Wielkopolski. Główne środki pozyskujemy z Metropolii Poznań poprzez tzw. Zintegrowane Inwestycje Terytorialne. Na pewno nie jest to łatwy okres w funkcjonowaniu samorządu w relacjach z państwem. Ale i w tych sytuacjach trzeba sobie radzić.

M.K.: Czy w związku z tymi trudnymi relacjami z państwem dzisiaj ma Pan jakieś postulaty co do zmian ustawowych w samorządzie?

A.L.: Niemal wszyscy podkreślamy, że najbardziej udana w ostatnim 30-leciu była reforma samorządowa i cały czas decentralizacji wszystkich zadań. Struktury gminne są najbardziej zdecentralizowane i właśnie tutaj dochodzi do bezpośrednich wyborów prezydentów, burmistrzów i wójtów. Teraz obserwujemy proces odwrotny. W przeszłości zdecydowaliśmy w formie uchwały Rady Miejskiej w Śremie o taryfach wodnych. Dzisiaj decyzje w tym zakresie podejmują centralne struktury Przedsiębiorstwo Wody Polskie. Takie przykłady można mnożyć. Miejmy nadzieję, że ten proces centralizacji działalności miejskiej, samorządowej zostanie powstrzymany. Zasada jest prosta: lepiej wydawane są pieniądze blisko ludzi. Myślę, że jest to najprostsze podsumowanie tego co można powiedzieć o relacji samorządu rząd w tym zakresie.

M.K.: Czy ten rok, który się zaczął, to rok tylko nadziei, czy istnieją jakieś realne możliwości oczekiwania wzrostu gospodarczego, czy po prostu generalnie jest to jedna wielka niewiadoma?

A.L.: Jest dużo niewiadomych, ale my tutaj w Śremie stąpamy dosyć twardo po ziemi i bardzo ostrożnie planujemy zarówno wpływy jak i podatki po to, by nie odczuć intensywności zmian pandemicznych. Ostrożność polega na tym, że opracowaliśmy sporą nadwyżkę budżetową, która będzie przeznaczona na kolejny etap rozwoju naszej gminy. Mówimy przede wszystkim o szerokich inwestycjach samej gminy o wartości ponad 30 mln złotych, a jeśli dodamy jeszcze inwestycje wodociągowe i związane z gospodarką komunalną, to będzie ponad 50 mln złotych w ciągu roku. Tworzymy dzięki temu rynek pracy dla naszych przedsiębiorców. Nie zaprzestaniemy działań związanych z komunikacją. Na ostatniej sesji Rady została podjęta uchwała o przystąpieniu do Komunalnego Związku Komunikacyjnego, który docelowo wypełni rolę PKS (Państwowa Komunikacja Samochodowa). Jesteśmy jedyną gminą w naszym regionie, która zdecydowała się przystąpić do tego związku wierząc, że komunikacja między Śremem a Poznaniem jest dla nas podstawowym elementem rozwojowym. Oczywiście jako członek tego związku będziemy

partycypować finansowo w jego funkcjonowaniu, jednak dzięki temu uzyskamy wpływ na sposób działania komunikacji. W bieżącym roku będziemy jeszcze bardziej rozwijać sieć rowerową, rower miejski dotrze do Zbrudzewa i pojawią się nowe stacje. Nastąpi dalszy rozwój sieci drogowej. Przy ulicy Gostyńskiej buduje się McDonald's. Niby inwestycja nieduża, ale symboliczna, bo wielkie sieci stawiają swoje obiekty w miastach rozwijających się. Mam nadzieję, że restauracja zacznie funkcjonować już pod koniec kwietnia. Obserwujemy spory rozwój budownictwa mieszkaniowego, zwłaszcza jednorodzinne. Takie wzmocnienie sprzyja pobudzeniu gospodarczemu. Chcielibyśmy przygotować się do zagospodarowania wieży wodociągowej, która jest jednym z symboli Powstania Wielkopolskiego w Śremie. Wspólnie z prezydentem Poznania Jackiem Jaśkowiakiem rozmawialiśmy o możliwości połączenia inwestycyjnego rewitalizacji wieży wodociągowej jako Wieży Powstania Wielkopolskiego i nowo powstającego obiektu Muzeum Powstania Wielkopolskiego w Poznaniu. Kilka lat temu Muzeum Śremskie opracowało założenia rewitalizacyjne naszego obiektu. Intensywnie rozwijamy zaplecze materialne sportu w Śremie. Zakończyliśmy modernizację obiektów Śremskiego Sportu. Kończymy przemianę Stadionu Miejskiego. Nie zapominamy o starej części miasta. Planujemy kolejne inwestycje: zagospodarowanie ulic Kościuszki i Wyszyńskiego. Ważny jest zrównoważony rozwój i tradycja.

Barbara SIWIŃSKA

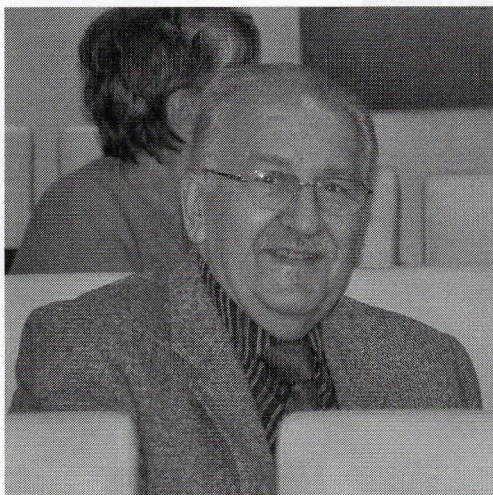
Współczesny Judym

dr n. med. WIESŁAW ROMANOWSKI 19.01.1933–13.01.2021

*Dobroć jest cichym czynieniem tego,
o czym inni głośno mówią*
Friedl Bentelrock

Był początek lat sześćdziesiątych XX wieku. Pracowałam jako młodszy asystent na oddziale wewnętrznym Szpitala im. R. J. Czerwiakowskiego w Śremie. W tym czasie na miesięczny staż specjalizacyjny przybyło dwóch lekarzy: Wiesław Romanowski i Franciszek Szymański. Tak poznałam przyszłych dyrektorów odpowiednio Wielkopolskiego Ośrodka Reumatologicznego i Powiatowej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Śremie. Przez kilkadziesiąt lat współpracowaliśmy.

Fot. arch PTL Śrem



Wiesław Romanowski urodził się w Rogowie w woj. łódzkim. Liceum Ogólnokształcące ukończył w 1951 roku w Gnieźnie. W 1958 roku, będąc absolwentem Wydziału Lekarskiego Akademii Medycznej w Poznaniu, podjął pracę w Śremie. Z miastem tym związał się na całe życie. A magnesem, który przyciągał była Bożenka, jedynaczka, nauczycielka. Zakochał się bez pamięci, założył rodzinę. Wychowali i wykształcili synów Leszka i Wojciecha. Leszek jest profesorem dr n. med. Kierownikiem Kliniki Traumatologii, Ortopedii i Chirurgii Ręki w Poznaniu. Wojciech jest dr n. med. Dyrektorem Wielkopolskiego Ośrodka Reumatologicznego w Śremie, czyli następcą i kontynuatorem dzieła Ojca. Mistrz w 1958 roku podjął pracę w Ośrodku Reumatologicznym w Śremie, który gromadził inwalidów z terenu całego kraju, wymagających prócz leczenia, przyuczenia do zawodu. Do realizacji tego celu utworzył filię w Błociszewie (1974 rok) i stopniowo przekształcił Ośrodek ze skromnej 40-lóżkowej placówki w nowoczesny zakład, który w 1980 roku uzyskał status Specjalistycznego Zespołu Opieki Zdrowotnej. Nieprzerwanie przez 38 lat, czyli do przejścia na emeryturę w 2002 roku, był dyrektorem Wielkopolskiego Ośrodka Reumatologicznego SPS ZOZ w Śremie. Powiększał systematycznie zakres świadczonych usług medycznych, socjalnych i zawodowych oraz wprowadził nowe metody leczenia i rehabilitacji leczniczej (m. in. krioterapia, szkolenie inwalidów w obsłudze komputerów). W ten sposób stworzył warunki do praktycznej realizacji założeń polskiej szkoły rehabilitacji profesora Wiktora Degi oraz realizował najbardziej poznanską ideę „pracy od podstaw”. Prowadził badania mające na celu ocenę przydatności i wydolności zawodowej inwalidów z dysfunkcją

kończyn górnych, w wyniku czego powstały m. in. zestawy stanowisk do testowania podstawowych chwytów ręki na narzędziach pracy i przyrządy do oceny jakości i siły ręki, z których cztery weszły do produkcji seryjnej, otrzymały świadectwa racjonalizatorskie.

Stale podnosząc kwalifikacje uzyskał specjalizację z zakresu chorób wewnętrznych i reumatologii, a w roku 1976 otrzymał tytuł doktora nauk medycznych. Będąc znakomitym lekarzem, fachowcem, znany był ze swojej judymowskiej postawy moralnej i społecznej. Niezwykle ciepły, niestrudzony, wyrozumiały, życzliwy, o wysokiej kulturze osobistej, a przy tym skromy. Wielki Człowiek, prawdziwy przyjaciel chorego, szczególnie wrażliwy na cierpienia i bezradność osób niepełnosprawnych, którym przywracał nadzieję, uśmiech i godność.

Był członkiem założycielem Koła Polskiego Towarzystwa Lekarskiego w Śremie (1964), zatem spotykaliśmy się kilka razy w roku na zebraniach koła. Tradycyjne październikowe spotkanie odbywało się w Błociszewie, perfekcyjnie organizowane przez Mistrza i grupę reumatologów. Czekaliśmy niecierpliwie na wspólne biesiadowanie przy ognisku, wspólne śpiewy, a niekiedy i tańce. To podczas takich prywatnych rozmów dowiedziałam się o jego zainteresowaniach – hodował warzywa, kwiaty, uprawiał ogródek. Uwielbiał wypadki na „ranczo” w Zaniemyślu, gdzie rodzinnie spędzał wolny czas. Podobno nieźle gotował. Preferował potrawy z ryb!

Spółecznik. Członek założyciel Koła PTL w Śremie, przez ponad 10 lat był prezesem Towarzystwa Miłośników Śremu, wówczas bardzo aktyw-

nego, ponad 20 lat członkiem Zarządu Wojewódzkiego Towarzystwa Walki z Kalectwem, współzałożycielem i członkiem Zarządu Wielkopolskiej Fundacji Reumatologicznej, radnym Sejmiku Województwa Wielkopolskiego, w którym pełnił funkcję przewodniczącego Komisji Zdrowia, Rodziny i Polityki Społecznej (2002-2006).

Codzienna medycyna nie składa się z bohater-skich czynów, to ciężka praca. Żył nią. Spełnił się. Nie zabiegał o honory. My lekarze byliśmy szczęśliwi, że mogliśmy z nim współpracować. Dla młodego pokolenia stał się niedoścignionym wzorem. Kilka lat temu w rozmowie ze mną powiedział: „nie występujcie dla mnie o żadne odznaczenia, ja mam wszystko”. Zastanowiłam się. Tak, miał wszystko: szczęśliwą rodzinę, cenioną w kraju specjalistyczną placówkę służby zdrowia, szacunek personelu i życzliwą pamięć tysięcy pacjentów. Z czynienia dobra doktor Wiesław Romanowski zbudował sobie pomnik. Trwały. Chylę czoło.

Śrem, styczeń 2021 roku

Michał LORENC, Roman LORENC, Ryszard ROSZYK

Doniu

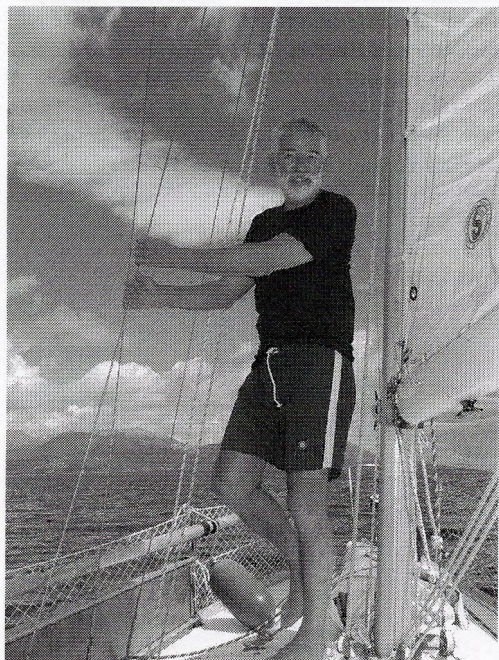
Wspomnienia o Edwardzie Nowakowskim (1937-2020) cz. 2

Michał LORENC

Początkowo „wujek”, później przyjaciel

Doniu był serdecznym przyjacielem moich rodziców, bywał z różnych okazji w moim rodzinnym domu. Pamiętam Go od najmłodszych lat. Szybko zaskarbił sobie moją dziecięcą sympatię, stając się „wujkiem”. Lata mijały, dorastałem, a On w dalszym ciągu był dla mnie „wujkiem”. Nasze relacje stały się jeszcze bliższe gdy, w ramach prezentu ślubnego, otrzymaliśmy od niego wspólny rejs po Adriatyku Jego jachtem. Była to niezapomniana przygoda, którą z moją żoną Anią

Fot. Ryszard Roszyk



wspominamy do dziś. Choć nie złapałem żeglarskiego bakcyła, dni wspólnej żeglugi sprawiły, że, z „wujka” stał się przyjacielem. Sprawdzone również w czasie sztormu.

Doniu ujmował mnie od dziecka swoim pogodnym usposobieniem, uśmiechem, dowcipem. Nieco później, gdy pozwoliła mi na to dorosłość, dostrzegłem w Nim niebywały umiar w osądzaniu innych ludzi, akceptację i dystans do ich słabości, a także umiejętność uważnego słuchania tego, co mówią oraz spostrzegawczość w obserwacji ich zachowań. Gdy nieco podrosłem, a później wspólnie żeglując po Adriatyku, dostrzegłem w Nim również ogromną wrażliwość na dobro, na drugiego człowieka, a także duchową wrażliwość. Jego wysmakowane, zwykle krótkie opinie lub podpowiedzi bywały strzałem w dziesiątkę, dowodząc owej wnikliwości Jego obserwacji, wrażliwości i wyczucia. Przy pobieżnej znajomości Donia te, jakże wartościowe zalety, mogły być niedostrzegane, pozostając w cieniu wspomnianego poczucia humoru i pozornie tylko powierzchownej rezolucyjności. W ostatnich latach ujął mnie i imponował nadal swoim pogodnym usposobieniem, pomimo że cierpiał i dźwigał kolejne i kolejne zdrowotne problemy. Wujku Doniu, Przyjacielu, wiele dobrego mi подарowałaś i pozostawiłaś. Dziękuję!

Roman LORENC

Żegnaj Doniu!

Żegnając Donia, człowieka bardzo mi bliskiego, w myślach „przebiegłem” przez naszą ponad czterdziestoletnią, wyjątkową znajomość.

Byłeś: na wielu morzach, oceanach, jeziorach i rzekach, na alpejskich, tatrzańskich i innych szlakach narciarskich, na krajowych i europejskich planszach szermierczych, w wielu zakąt-

kach świata. Ale zawsze wracałeś do Śremu – Twojego gniazda. Do nas!!!

Będziesz na zawsze w mojej pamięci niezawodnym przyjacielem, kompetentnym pasjonatem żeglarstwa, narciarstwa i szermierki. Kochanym przez młodzież nauczycielem, uważnym na ich różne problemy, wrażliwym na wszelką krzywdę. Otwartym na nowości XXI wieku, niezrównanym towarzyszem spotkań i wypraw. Zawsze pełen optymizmu i mobilizacji do realizacji planów. Troskliwym, kochającym mężem, dziadkiem i pradiadkiem. Po prostu prawdziwym mężczyzną – człowiekiem z grupy ludzi renesansu. Dziękuję, że byłeś zawsze gotowy wspierać mnie i moją rodzinę swoją wiedzą i doświadczeniem. Obecny w ważnych dla mnie wydarzeniach rodzinnych, bo Twój szczerzy uśmiech, życzliwe spojrzenie, wyjątkowy dowcip i otwartość ujmowały wszystkich. Inicjatorem wielu pomysłów, dzięki którym ja, Grażyna i nasze dzieci poznaliśmy urok i radość z żeglowania po jeziorach i wodach morza Jońskiego, Egejskiego i Adriatyku oraz zwiedzania wielu chorwackich i greckich wysepek. Twój jacht Zu&Lu był naszym wspólnym domem. Otwarty na młodzież i dzieci – wujek Doniu był w naszym domu zawsze wyczekiwany i bardzo ciepło witany.

Dziękuję za możliwość wspólnego świętowania 50. rocznicy Waszego ślubu z Basią, razem z Waszą najbliższą rodziną i gronem przyjaciół (wtedy też odbyły się chrzciny Twojego ostatniego dziecka „Fifty-Fifty”). Za możliwość uczestniczenia w przepięknych i wzruszających obchodach Twojej 80-tki. Za nasze wieloletnie wtorkowe spotkania od 18:00 do 19:30, kiedy przy kufelku piwa (a ostatnio przy szklaneczce soku), w gronie najbliższych kolegów, prowadziliśmy szczerze dysputy na przeróżne tematy.

Zawsze byłeś czujny, aby nie przekroczyć przyjętych reguł – o wszystkim, ale bez polityki.

W ostatnim okresie, mimo nie najlepszej kondycji, starałeś się bywać z nami, a atmosfera na spotkaniu urodzinowym (83 lata) zorganizowanym przez Basię i Twoje dzieci napawała mnie optymizmem. Były wspomnienia, ale i plany dotyczące Twojej wypieszczonej łódki „Fifty-Fifty”. Stało się inaczej. Świadomy swojego stanu mówiłeś – „będę tam na was czekał”, a więc do zobaczenia Doniu!

Ryszard ROSZYK

27 października 2020 roku odszedł na wieczną wachtę Edward Donat Nowakowski. Nauczyciel wychowania fizycznego w śremskich szkołach. Wieloletni trener szermierki w klubie Warta Śrem. Wychowawca wielu zdolnych zawodników. Inicjator wielu imprez i spotkań, których był „duszą towarzystwa” ze względu na niezwykle poczucie humoru i trafne riposty. Człowiek bardzo skromny.

Swoją wodną przygodę rozpoczął od pływania kajakami po Warcie, potem zaczął żeglować. Zbudował dwa jachty żaglowe, na których pływał początkowo po naszym śremskim jeziorze, potem na innych akwenach włącznie z wielkimi Jeziorami Mazurskimi. Aktywnie angażował się w działalność klubu żeglarskiego „Odlewnik”, zwłaszcza w okresie, kiedy w klubie budowano jacht „Hipolit”. Po pewnym czasie te działania stały się dla niego niewystarczające. Śrem i Polska stały się dla niego „za ciasne”.

Na początku lat dwutysięcznych udał się do Stanów Zjednoczonych – na Florydę, gdzie przy pomocy Ryszarda Ratajczaka, wyremontował uszkodzony jacht (Zu&Lu), którym przepłynął z udziałem śremskich młodych żeglarzy przez

Atlantyk do Portugalii i dalej na Adriatyk do Chorwacji. Na jacht zapraszał wielu kolegów na rejsy po wybrzeżu Dalmacji i nie tylko. Później pływał przez kilka letnich sezonów po wodach otaczających Grecję.

Kilka lat temu ponownie przepłynął Atlantyk, tym razem na dużym luksusowym jachcie – z Czarnogóry na wyspy Trynidad i Tobago. Dzięki tym doświadczeniom i kwalifikacjom uzyskał stopień kapitana jachtowego.

Opowiadał, że samotne żeglowanie po morzach daje mu szczególne poczucie niezależności, wolności. W tym względzie w pełni go rozumiem i On też mnie rozumiał. Za każdym razem, kiedy wybierałem się na samotną wólcę kajakiem po polskich rzekach i jeziorach, doradzał i pomagał mi pod względem logistyki. Wspierał mnie i kibicował w trakcie moich eskapad kajakowych. Podczas każdej z nich, codziennie oczekiwał moich relacji, gdzie jestem, co się wydarzyło, co widziałem. Czy teraz będzie to kogoś interesowało? W latach 2017–2018, odbyliśmy razem kilka wycieczek kajakowych: po Węnie, Jeziorach Cichowskim oraz Lednickim. Tam razem przeszliśmy przez Bramę Trzeciego Tysiąclecia na Polach Lednickich. Jacht „Fifty” przeznaczony był do żeglugi po wodach śródlądowych. Przepłynął nim Wielką Pętlę Wielkopolską, kilka razy na jeziora Ślesińskie. W planach miał rejsy po Wiśle oraz po wodach Brandenburgii. Jacht „Fifty” był ciągle modernizowany i udoskonalany. W 2019 roku w trakcie odbytego rejsu po Żuławach i Zalewie Wiślanym, na wycarzerowanej barce, podpatrzył sposób, w jaki napędzana była ta barka. Kupił więc podobny nowy silnik i zainstalował do swojej łodzi. Postępująca choroba spowodowała, że „Fifty” z nowym silnikiem zwodowany został dopiero w końcu lipca 2020

roku. Razem z kolegami udało nam się, z mocno już chorym Doniem odbyć kilka rejsów po Warcie. Niestety nie nacieszył się tą zmodernizowaną łodzią.

Z Jego inicjatywy od 2015 roku regularnie, co wtorek spotykaliśmy się na piwie. To On zapytał: „czy żeby napić się piwa, musimy lecieć do Grecji?”. Dołączył do nas Romek, później Andrzej oraz inni koledzy. Podczas tych spotkań poruszaliśmy różne tematy, wspominaliśmy dawne dzieje, snuliśmy plany na przyszłość. Doniu tych planów miał tyle, że nawet dwieście lat życia nie wystarczyłoby, by je zrealizować. Tu rodziły się pomysły różnych spotkań towarzyskich. W ostatnich latach kilka razy w tygodniu, najczęściej w południe dzwonił do siebie. Rozmowa za każdym razem rozpoczynała się od co robisz? On najczęściej odpowiadał: Grzebię przy łódce, albo piję kawę. A ty co robisz? A jak tam Twój kotek? I tak dalej...

Z powodu tych rozmów w moim telefonie mam wprowadzone szybkie wybieranie numeru Donia. I mimo że jego już nie ma, nie wykasuję tego numeru, bo na pewno nie raz będę miał potrzebę do niego zadzwonić. Zdaję sobie sprawę, że moje wspomnienia o kapitanie Doniu nie są pełne i nie przedstawiają Jego całej, niezwyklej osoby. Dlatego oczekuję kolejnych wspomnień spisanych przez tych, którzy mieli kontakt z tym niezapomnianym i niezwyczajnym Śremianinem.

Post scriptum

Dla zachowania pamięci Donia, grupa przyjaciół zapowiedziała, że w sierpniu, w rocznicę Jego urodzin, corocznie będzie organizowany spływ kajakowy lub rejs. W 2021 roku zadeklarowało już udział w takim spływie 5 dwuosobowych załóg. Chętnie będziemy widzieli na tej imprezie inne osoby.

Leszek MAŃKOWSKI

O Śremsongu

Z pamiętnika starego

Największe w Śremie doroczne wydarzenie kulturalne ma już 30 lat. Mam nadzieję, że pandemia nie stanie na przeszkodzie i jubileuszowy przegląd dojdzie do skutku. Pewnie będą oficjalne podsumowania, przypominanie historii niezwykłego przeglądu, dane statystyczne, opowieści pomysłodawcy i animatora. Może pojawią się osobiste wspomnienia, refleksje związane z szeroko rozumianym uczestnictwem w Śremsongu? Nie czekając na jubileuszowe koncerty napisałem swoje wspominki.

W 1991 r. obchodziliśmy 75-lecie Szkoły Podstawowej nr 2 w Śremie. Finałem jubileuszu było, 14 czerwca, nadanie szkole imienia ks. Piotra Wawrzyniaka. Poprzedziło je sporo zaplanowanych wcześniej wydarzeń kulturalnych i sportowych. Gdy program obchodów był dopinany, a kalendarz pełen, pojawiła się oferta last minute: katecheta Janusz Skotarczak zgłosił pomysł zorganizowania przeglądu piosenek religijnej. Odbył się on w szkolnej auli już po kulminacji obchodów, 16 czerwca 1991 r. Narodził się Śremsong! Gwoli ścisłości trzeba jednak dodać, że wtedy tej nazwy oficjalnie jeszcze nie było, Janusz uległ kuratorskim sugestiom – że Śremsong to nie brzmi, że nie ma w polskim słowniku takiego słowa. Proponowano powszechnie wówczas używane nazwy: sacrosong lub sakrosong („polskie” słowa). Jednak, co się odwlecze. W 1992 r. odbył się I Wojewódzki Przegląd Piosenki Religijnej „Śremsong”.

Trafił mi do przekonania zamysł, by Śremsong – w odróżnieniu od wielu podobnych wydarzeń w Polsce – był przeglądem, na którym prezentować się mają dzieci i młodzież reprezentujący placówki oświatowe – od przedszkola do matury.

(W późniejszych latach dołączyli studenci szkół wyższych, a także reprezentacje parafii i ośrodków kultury). Decydując o organizowaniu przeglądu przez naszą szkołę nie zdawałem sobie sprawy (ktoś mógł przewidzieć?), jaki ogrom pracy na nas spadnie.

Ten pierwszy wojewódzki pomieścił się jeszcze w auli „Dwójki”, jednak już w 1993 r. musieliśmy przenosić się do kina „Słonko”, a od roku następnego Śremsong zakwaterował się na długo w sali widowiskowej i pomieszczeniach Klubu Odlewnika. Koniecznym było organizacyjne wsparcie, więc dołączył Śremski Ośrodek Kultury, a także Urząd Miejski, Kuratorium Oświaty, potem Odlewnia Żeliwa oraz inne śremskie instytucje. Z roku na rok przybywało uczestników, w drugiej połowie lat 90. ich jednorazowa liczba przekraczała 2 tysiące. Wydłużał się czas trwania kolejnych edycji; o ile na początku wszystko rozegrało się w jednym dniu, to później na konkursowe przesłuchania i dodatkowe koncerty trzeba było przeznaczać cały tydzień. Powiększał się zasięg terytorialny wydarzenia, więc aby być w zgodzie z faktami, przemianowaliśmy przegląd – najpierw na „wielkopolski”, a później, w 2010 r. – na „ogólnopolski”. Ogromne wyzwania organizacyjne, synchronizacja działań licznych instytucji. Duży wysiłek logistyczny. Coraz więcej angażujących się osób. Potrzeba gry zespołowej.

Przygotowania. Majowy zwykle przegląd w naszej szkole rozpoczynał się już w marcu. Biuro Śremsongu było umiejscowione w sekretariacie szkoły. Pamiętajmy: nie było w pierwszych latach komputerów i internetu, szczytem techniki była kserokopiarka, potem faks. Zaczynało się od wysyłania setek informacji, zaproszeń i regula-



minów. Potem były telefony, a w nich pytania i prośby. Nadchodziły zgłoszenia, które należało zarejestrować, rozmieścić wykonawców na poszczególne dni przesłuchań i – spełniając prośby – dokonać zmian (co powodowało konieczność kolejnych telefonicznych uzgodnień). Policzenie wszystkich przyjeżdżających – bo trzeba było zapewnić im posiłki, zamówić odpowiednią ilość gadżetów, upominków. Jeszcze „tylko” wypisanie (przez kilka lat – ręcznie) wielu podziękowań za udział, za pomoc, wsparcie i nadchodził czas rozpoczęcia kolejnego przeglądu.

Ludzie „Dwójki”. Dwie kolejne niezawodne – moje najlepsze! – sekretarki: Stanisława Mozgawa i Katarzyna Jurga. Nauczycielki: Hanna Bednarczyk, Grażyna Opielewicz, Renata Borowska, Agata Jarosz, Iwona Gorzkiewicz. Zgrana drużyna, z roku na rok doskonalsza. Dream team! Do tego szkolnego zespołu dołączali w poszczególnych latach kolejni nauczyciele. Dodatkowe, „śremsongowe” zajęcia miała też dyrekcja szkoły, kolejni wicedyrektorzy – Jan Weis, Sabina

Marciniak i Zbigniew Szonert. Mocne wsparcie dawały grupy uczniowskie. Szkolna „drużyna marzeń” była bardzo liczna.

Maj. Praca w recepcji zaczynała się jeśli nie skoro świt, to z pewnością o poranku. Rejestracja uczestników, przyjmowanie i wydawanie różnych „papierów”, udzielanie informacji. Sterowanie ruchem: kolejność prezentacji na scenie, kierowanie na obiady (kontakt ze stołówką), „gorące linie” ze sceną (tam także konferansjerka) i sekretariatem szkoły. Bywały długie „chwile”, gdy ruch wokół recepcji był porównywalny z tym na Kaponierze w godzinach szczytu. Konsultacje z dowodzącym Januszem. Do tego wszystkiego – obsługa jury, wypisywanie na gorąco dyplomów dla wyróżnionych. A bywało też przewożenie (tam i z powrotem) „gwiazd”, gości Śremsongu.

Fajrant zazwyczaj ogłaszano o zmierzchu. Jednak często gęsto odbywały się jeszcze „późnowieczorne” narady przed kolejnymi dniami. Całe



mnóstwo godzin nadliczbowych – za Bóg zapłać i bez podatku (ale nie było pytań: za ile?).

Po zakończeniu. Konieczne wysyłanie nieodebranych podziękowań i dyplomów. Wysyłka zamawianych kaset VHS z nagraniami występów i galowych koncertów. Pisanie wymaganych sprawozdań. Po wakacjach spotykaliśmy się – by podsumować, ocenić i przymierzyć się do następnego Śremsongu.

Szczególne miejsce w pamięci zajmuje jeden z konkursowych dni w maju 1996 r. Około południa przyjechałem ze Śremsongu, aby popracować w szkole (nie zapominajmy, że odbywały się planowe lekcje) – i dowiedziałem się, że przed chwilą otrzymaliśmy telegram z Watykanu, że nasze panie przesłały go już do Odlewni. Telegram trafił do rąk Janusza Skotarczaka, potem został odczytany na scenie. Wszyscy dowiedzieli się, że serdeczne życzenia dla uczestników i organizatorów Śremsongu wraz z osobistym błogosławieństwem przesłał papież Jan Paweł II. Dziesięć lat trwała piękna przygoda. Od jubile-

uszu do jubileuszu. Symbioza Szkoły Podstawowej nr 2 i Śremsongu rozpoczęła w roku 75-lecia szkoły skończyła się podczas obchodów 85-lecia w 2001 r. Tamten ostatni rok zapisał się w historii także tym, że podstawowa „Dwójka” skończyła działalność (zastąpiło ją Gimnazjum nr 2). Wracalem jeszcze później na ten niezwykle przegląd jako jeden ze współorganizatorów. Ale najlepsze wspomnienia pozostawił tamten młody Śremsong lat dziewięćdziesiątych. I – niezapomniana, wspinała szkolna „drużyna marzeń”.

Fot. ze zbiorów Szkoły Podstawowej nr 2
im. Ks. Piotra Wawrzyniaka w Śremie

Wojciech K. KANIEWSKI

Śremski epizod mojego życia

Motto:

*Przypadki wpływają na życie człowieka.
Przypadkom należy pomagać!*

Urodziłem się w Poznaniu. Długo nie wiedziałem o istnieniu Śremu. O tym, że Śrem stał się częścią mojego życia zdecydowały przypadki. Zaraz po studiach na UAM miałem zamiar pracować na uczelni i kontynuować doświadczenia w Katedrze Chemii Organicznej. Niestety był tam tylko jeden etat a pierwszeństwo miała osoba partyjna. Podjąłem pracę w laboratorium biochemii Zakładu Genetyki Roślin PAN. Pracą byłem zachwycony i mając wiele znaczących osiągnięć, zapytałem swoją przełożoną, jak widzi moją pracę doktorską. Ta śmiejąc się stwierdziła, że u niej zdolny pracownik ma szansę na doktorat po minimum 25 latach ciężkiej pracy. Tego samego dnia miała na biurku moje wypowiedzenie. Kolega polecił mi posadę kierownika laboratorium COBORU w Słupi Wielkiej, w miejsce odchodzącego na emeryturę dr Latawca. Okazało się, że tam nie ma żadnego laboratorium, zatem to praca czysto urzędnicza, czyli nie dla mnie. Odmówiłem, ale dyrektor COBORU wspomniiał, że nie może znaleźć żadnego laboratorium robiącego analizy ilościowe capsaicyny w papryce. W domu Rodziców miałem podręczne laboratorium i bez trudu w ciągu kilku dni opracowałem nieodpłatnie metodę tej analizy. Dyrektor był zachwycony i zaprosił mnie na negocjacje. Stwierdziłem, że najlepiej byśmy robili wszystkie analizy sami. Do tego potrzebne było jednak laboratorium i pracownicy. Mógłbym podjąć się tej pracy, ale bez rezygnacji z doktoratu i pracy naukowej. Dyrektor zwierzył się, że ma w planach budowę wspólnego laboratorium na miejscu, ale to potrwa kilka lat. Są pieniądze, a w stacji doświadczalnej

w Śremie stoi nieużywana obora, którą mógłbym zaadaptować na laboratorium. To wymagało uzgodnień z dyrektorem śremskiej stacji inż. Wachowiakiem, który jak się okazało podszedł do sprawy entuzjastycznie i tak 1 września 1968 r. stałem się kierownikiem laboratorium COBORU z siedzibą w WSDOO Śrem-Wójtostwo. Nie miałem jeszcze 25 lat, a pensja kierownika (na poziomie pensji wicedyrektora) była prawie czterokrotnie wyższa niż moja dotychczasowa w PAN.

Na początek dostałem dwa pokoje w nowo wybudowanym pracowniczym budynku mieszkalnym na ulicy Wiosny Ludów. Jeden zaadaptowałem na moje biuro i mieszkanie, a z drugiego od razu zrobiłem laboratorium, w którym opracowywałem metody analiz roślin doświadczalnych. Krótco potem dyrektor zatrudnił mi do pomocy Panią Mirkę. Swoją czas dzieliłem pomiędzy Śremem a Poznaniem, gdzie robiłem zakupy odczynników i sprzętu laboratoryjnego oraz poszukiwałem metodyk analitycznych. Metody testowałem sam w moim pokoju-laboratorium. Na papier milimetrowy naniosłem obrys obory w skali i zacząłem rozrysowywać pomieszczenia. Ograniczenie w planowaniu pomieszczeń stanowiły żeliwne słupy we wnętrzu obory. Zaraz przy wejściu umieściłem swój okazały gabinet, a z drugiej strony moje prywatne, małe laboratorium. Za nim pokój do spalania roślin na moko do analizy azotu. Dalej pokój wagowy z betonowymi stołami, by zapobiec wstrząsom. Wagi analityczne załatwiłem bezpłatnie u producenta w Gdańsku, testując ich nowe produkty. Potem było duże laboratorium do analiz masowych, przewidziane dla kilkunastu pracowników. Był też pokój mokry, głównie do analizowania poziomu cukru w burakach i obszerne magazyny na pod-

daszu. Po przeciwnej stronie długiego korytarza umieściłem pokoje dla pracowników działu doświadczalnego. Ekipa budowlano-instalacyjna rozpoczęła prace, które nadzorowałem. Bywało, że pracownicy się objęli, unikali pracy. Wspólnie dyskutowaliśmy, co zrobić, by prace szybko zakończyć. Zaproponowali zachęty za dobrą pracę. A więc kupiłem 50 litrów skażonego spirytusu (po 4 zł za litr, czysty w sklepie 240 zł), oczyściłem go w domowym laboratorium i wydzielałem po dniówce zasłużonym robotnikom. Wszyscy chcieli zasłużyć na nagrodę, więc laboratorium powstało błyskawicznie. W tym czasie zakupiłem meble laboratoryjne i biurowe, odczynniki i najnowszy sprzęt. O dziwo, nie miałem żadnych ograniczeń finansowych. I tak w przeciągu niespełna roku powstało okazałe laboratorium. Latem 1969 r. wspólnie z dyrekcją zorganizowaliśmy jego uroczyste otwarcie. Stoły ugiwały się od wyszukanych potraw. Gościliśmy władze państwowe, partyjne, generalicję z COBORU i WSDOO, razem kilkadziesiąt osób. Obok siebie posadziłem moją byłą szefową z PAN-u. Oprowadziłem ją po moim laboratorium, nie szczędziła słów podziwu, a ja dumny oznajmiłem, że właśnie otworzyłem swój przewód doktorski w IUNG-u w Puławach i że go skończę najdalej za 3 lata. Otrzymałem propozycję powrotu do pracy w PAN, nie przyjąłem jej.

Organizację pracy w laboratorium zacząłem od naboru pracowników. Zatrudniłem pięciu młodych chemików zaraz po studiach na UAM. Z naborem techników, też lokalnych, nie było problemu. Kusily ich stosunkowo wysokie zarobki i mieszkania. Wkrótce laboratorium ruszyło z załogą 25 osób. Przeprowadziłem testy, by zorientować się jaki poziom wiedzy reprezentują i jakie mają osobiste predyspozycje. Dzięki tym testom sporo się dowiedziałem o pracownikach, choć nie obyło się od zabawnych sytuacji. Pani Mirka rozplakała się, gdy miała odpowiedzieć na pytanie, co robi chemik gdy przesoli zupę (oczywiście dializę). Niektórzy nadawali się tylko do jednego, np. pani Mirka do administracji, w czym była niezastąpiona. Inni, by im się nie nudziło co tydzień zmieniali stanowiska pracy. Jedynie młody technik (obecnie dr medycyny) Rysiu Górny poprosił, by zawsze tylko pracował przy spalaniu na azot, bo tam jest najcieplej.

Chciałem narzucić jakieś normy na każdym stanowisku, by zapewnić wydajność. By były realne, sam spędziłem na każdym stanowisku 8 godzin, pracując najlepiej jak potrafiłem. Ponieważ manualnie nie jestem zbyt sprawny, do swojego wyniku dodałem 10% i to była norma dla pracownika na każdym stanowisku. Po wykonaniu dziennej normy pracownik może przestać pracować, może robić co chce, ale nie może iść do domu, bo na to nie zgodził się dyrektor. Kto nie zdąży, musi pracować po godzinach. Najsprawniejsi wyrabiali normę w 5 godzin! Potem plotkowali, czytali, panie robiły na drutach a panowie zwykle grali w karty. Dyrektor nie mógł na to patrzeć i marudził. Ale system działał i wkrótce, analizując wszystkie próbki roślin przesyłane do nas z całej Polski, doszliśmy do robienia ponad 110 tysięcy różnych analiz rocznie. Koszty analiz okazały się niezwykle niskie, szczególnie w porównaniu do tych zlecanych uprzednio. Pozostała sprawa jakości. Do każdej partii próbek przemycałem zaszyfowaną, o znanym składzie. Gdy ta próbka kontrolna wypadła poprawnie, cała partia była akceptowana. Jeśli nie, to analizy całej dziennej partii musiały być powtórzone, oczywiście po godzinach. Zasady były jasne i wszyscy pracowali nienagannie.

Ja prócz nadzoru i zaopatrzenia wykonywałem doświadczenia do swojego doktoratu. Były to analizy składu białek różnych odmian pszenic. Tak zaproponował mój promotor, prof. Edmund Nowacki. Stosowałem do tego opracowaną przeze mnie jeszcze w PAN metodę rozdzielu białek i enzymów na żelu poliakrylamidowym. Metoda ta była wtedy na tyle nowoczesna, że uczyłem jej pracowników z Chemii Bioorganicznej PAN. Zdarzały się też analizy nietypowe, które zawsze wykonywałem sam. Pamiętna była analiza nostrzyku, podobno wyhodowanego z niską zawartością kumaryny. U mnie ta odmiana niczym mierzalnym nie różniła się od innych. Hodowca (poseł na Sejm PRL) pozwał nas do sądu, twierdząc, że nie umiemy robić analiz. Mądra sędzina zadecydowała, by zaszyfować próbki tej i innych odmian nostrzyku i wspólnie z chemikami hodowcy je przeanalizować. Robiliśmy to u mnie i okazało się, że tamci chemicy w ogóle nie wiedzieli, jak oznacza się kumarynę. Hodowca kazał im podać, że jego odmiana ma niską zawar-

tość kumaryny, by dostać za to nagrodę. Nie obchodziło go to, że po takiej paszy krowy by się potruły. Sprawę wygraliśmy a nieuczciwy poseł się nawet nie odezwał. Sam prowadziłem też inne prace naukowe, niezwiązane z doktoratem. Głównie chodziło mi o weryfikację metod z Polskich Norm. Wyniki tych badań prezentowałem na zjazdach naukowych i powstały z tego 3 recenzowane publikacje.

Przygoda śremska dzieli się na przed i po moim ślubie. Pracę rozpoczynałem już zakochany. Moja wybranka odwiedzała mnie czasami w Śreminie, gdzie wreszcie mogliśmy czuć się swobodnie. Najmilej wspominam możliwość bycia sam na sam, a w szczególności wspólne kąpiele w wannie. Bez niej nieco doskwierała mi samotność, którą skutecznie leczyłem intensywną pracą. Pracy było pod dostatkiem, choć nikt niczego mi nie nakazywał. Sam ją sobie organizowałem. Były też rozrywki. Mogłem korzystać z bryczki na wycieczki oraz z konia wierzchowego. Zimą urządziłem wspaniałe kuligi. Byłem niezaradny w sprawach żywienia, aż odkryłem pobliską restaurację – bar Balbinka. Tam jadałem obiady, często udając się tam konno. Odkryciem była wspaniała peklówka w sosie chrzanowym i ją najczęściej zamawiałem. Dziś „Balbinka” to okazały lokal, ale bez peklówki. Najadałem się na zapas podczas każdej wizyty u rodziny w Poznaniu, dokąd często jeździłem. W dniu naszego ślubu laboratorium było już w pełnym biegu, a ja urządziłem przydzielony mi segment jednorodzinnny. Po ślubie odbyliśmy dwutygodniową podróż do Bułgarii, potem nareszcie zamieszkaliśmy razem. Żona została zatrudniona w moim laboratorium. Pracowała dzielnie na równi z innymi, choć dodatkowo podjęła studia zaoczne. Ten okres naszego wspólnego życia najmilej wspominam. Nasze pierwsze meble to wykonana przez lokalnego stolarza okazała meblościanka (mój projekt), wielka półka na całą ścianę mieszcząca nawet telewizor Rubin. W mieszkaniu zmieścił się nawet fortepian Żony. Kuchnia umeblowana szafkami – prezentem od dziadków Żony. Wspaniałe malowidło przez całą klatkę schodową – dzieło Oli, siostry Żony. Do Poznania jeździliśmy na weekendy i to nie zawsze. Żona Marysia od zera uczyła się gotować. Co do menu niezbyt się zgadzaliśmy. Ale nie to było istotne,

ważne, że byliśmy razem. Problem żywienia nieco rozwiązała pani, gotując obiady dla pracowników. Chętnie z nich korzystaliśmy. Miłe były wspólne spacery często długie, aż do Łęgu, czy wyprawy nowo zakupionymi rowerkami-składakami, by zwiedzić bliższą i dalszą okolicę. Zimą urządziłem kuligi, lubiłem jazdę na nartach za koniem, a raz na łyżwach brzegiem zamarzniętej Warty i rozlewiskami dotarłem aż do Książa Wlkp. Zbudowałem boisko do siatkówki wysypiane piaskiem. Wiele innych miłych wspomnień byłoby do opisanie...

Wówczas dość dokuczliwa była komunikacja autobusem PKS pomiędzy Śremem a Poznaniem. W 1971 r. zakupiliśmy nowego Trabant co zapewniło komfort jazdy do rodziny. Z częstych podróży autobusem niezbyt miło wspominam jedno wydarzenie. Otóż późnym wieczorem autobus długo nie ruszał z Poznania. Po 2 godzinach oczekiwania zamarznięty i zdezorientowany próbuję się dowiedzieć od konduktora co nas czeka. Nie reagował: siedział i milczał. Wrzasnąłem na niego: siedzi Pan jak ten baran ignorując pasażerów! Nadal nie reagował, lecz rozmawiał z kierowcą. Wreszcie autobus rusza, ale po chwili zatrzymuje go milicja. Wpada do wnętrza i konduktor wskazuje na mnie: to ten! Wywlekli mnie z autobusu stwierdzając, że obraziłem funkcjonariusza państwowego na służbie. Autobus odjechał, a ja dostałem wezwanie na Kolegium Orzekające. Na Kolegium kumple konduktora świadczyli jak to źle się zachowywałem, choć sporo nazmyślali. Przyznałem się do nazwania konduktora baranem i Kolegium ukarało mnie mandatem 500 złotych (najniższy wymiar kary, bo baran nie figuruje w rejestrze słów obraźliwych).

Sielanka trwająca w pracy z czasem zaczęła się nieco psuć. Coraz częstsze były zatargi z dyrektorem, głównie o sprawy formalne i finansowe. Laboratorium miało ogromny budżet, trudny do wykorzystania, bez marnotrawstwa. Dyrektor wieloma kosztami gospodarstwa obciążał laboratorium i w ten sposób wykazywał zyski gospodarstwa, na co niechętnie, ale się godziłem, bo to niby dla wspólnego dobra. Z zysków całej Stacji obliczana była roczna premia dla pracowników i była niemała. Na ten zysk duży wpływ miała oszczędna gospodarka laboratorium. Niestety

dyrektor, zamiast to docenić zarządził, że pracownicy gospodarstwa i administracji dostaną wyliczoną premię plus 30%, a premię wszystkich pracowników laboratorium pomniejszył o 30%. To dużo i nikt z nas tej decyzji nie rozumiał. Pisałem w imieniu swoich pracowników odwołania, które tylko złościły dyrektora i pewnie łądowały w koszu na śmieci. Próbowałem reagować, nie podpisując wydatków gospodarstwa z mojego budżetu. Nic nie pomogło, sam je tak księgował i tylko bardziej go rozzłościłem. Teraz on zdecydował mi dokuczyć. Zakazał mi doświadczeń do pracy doktorskiej, chyba, że będę je robił po godzinach pracy i na własny koszt. Sprawa jakby sama się rozwiązała, bo nagle na atak serca zmarł mój promotor.

W międzyczasie skoncentrowałem się na projektowaniu docelowego (dla mnie) laboratorium w Słupi Wielkiej. Zatrudniłem się na ćwierć etatu w Biurze Projektów Budownictwa Wiejskiego w Poznaniu i tam wspólnie z ich architektami zaprojektowaliśmy budynek laboratoryjny. Ruszyła budowa i myślałem, że dotrwam w Śremie do przeprowadzki. Na moje szczęście uratowała mnie wszechwładna wtedy partia. Gdyby nie ona, to może do emerytury zarządzałbym wspaniałym laboratorium COBORU. Wiódłbym spokojne i dostatnie życie, a może nawet kiedyś zrobiłbym doktorat. Nic z tego! Dyrektor Stacji zawołał mnie na poważną rozmowę, w której oświadczył, że osoba na kierowniczym stanowisku musi należeć do partii. Tego było mi już za wiele. Poskarżyłem się dyrektorowi COBORU, ale nie zareagował. Zapisałem się na rozmowę z pierwszym sekretarzem komitetu wojewódzkiego partii, by poskarżyć się na zmuszanie mnie do wstąpienia. Ale sekretarka Sekretarza poinformowała mnie, że on już zna sprawę i nie ma po co mnie przyjmować. Wracając spotkałem przed Bazarem zatroskanego swojego kolegę Wiesia Głowackiego. Ten po studiach pracował w Puławach i cały czas starał się o pracę w Poznaniu. Nagle dostał dwie oferty. Musiał znaleźć kogoś na jedną z nich. Zaraz odrzuciłem ofertę pracy w Katedrze Genetyki na UAM, bo kojarzyła mi się z moją pierwszą pracą. Postanowiłem spróbować posady wirusologa w Instytucie Ochrony Roślin. Na interview kierownik zakładu, mgr Miciński stwierdził, że wie, że jestem dobrym

chemikiem, a taki jest mu potrzebny do wprowadzania nowych metod badania wirusów. Warunkiem przyjęcia jednak jest wstąpienie do nowo tworzonej przez niego drużyny brydżowej. To mi bardzo odpowiadało, bo tego w Śremie nie miałem. Niestety nie mogłem tam dokończyć żadnego z zaawansowanych już doktoratów, ale zalecane było bym zrobił doktorat z wirusologii i ten trzeci dokończyłem. Dzięki tej zmianie potem większość mojej kariery naukowej odbyłem w USA, przy okazji robiąc polską habilitację i w końcu uzyskując polską profesurę. Potem jeszcze trochę pouczyłem naszych studentów biotechnologii na UAM, by w końcu przejść na emeryturę. Nie mniej pobyt w Śremie wspominam z rozrzewnieniem i zadowoleniem, że zostałem stamtąd zachęcony do odejścia. Śrem opuściłem 28 lutego 1972 r., ale zawsze z przyjemnością tam wracam.

Leszek MAŃKOWSKI

Ersatz

Jestem, więc pytam

„Oto ludzie są niby w podziemnym pomieszczeniu na kształt jaskini. [...] W niej oni siedzą od dziecięcych lat w kajdanach; przykute mają nogi i szyje tak, że trwają na miejscu i patrzą tylko przed siebie; okowy nie pozwalają im obracać głów. Z góry i z daleka pada na nich światło ognia, który się pali za ich plecami, pomiędzy ogniem i ludźmi przykutymi biegnie górą ścieżka, wzdłuż której widzisz murek zbudowany równolegle do niej, podobnie jak u kuglarzy przed publicznością stoi przepierzenie, nad którym oni pokazują swoje sztuczki. [...] wzdłuż tego murku ludzie noszą różnorodne wytwory, które sterczą ponad murek; i posągi, i inne zwierzęta z kamienia i z drzewa, i wykonane rozmaicie [...]. Czy myślisz, że tacy ludzie mogliby z siebie samych i z siebie nawzajem widzieć cokolwiek innego oprócz cieni, które ogień rzuca na przeciwną ścianę jaskini?”¹

Świat więźniów z platońskiej alegorii jest światem pozorów, cieni, odbić, które jawią się im jako rzeczywistość. Jedyna rzeczywistość, bo innej nie znają, nie domyślają się nawet, że może ona istnieć. Nauczyli się nadawać nazwy ceniom i odbiciom, mają swój język. Rozmawiają nie widząc wzajemnie prawdziwych siebie. Ludzie żyją w świecie wirtualnym, tak dobrze wykreowanym na ekranie, że wydaje się rzeczywistości. Życie on-line mogło być tylko dodatkiem do „realu”, jednak rok pandemii wyraźnie ukazał jego drugie oblicze. Skutkiem ograniczenia prawdziwych kontaktów jest konieczność zdalnej pracy i nauki, uczestniczenia w telekonferencjach, wideo naradach. Coraz ważniejsi stają się znajomi z FB, TT itp. Rozmowy za pośrednictwem smartfonów, komputerów przestają być dodatkiem lub czasowo koniecznym substytu-

tem. Ludzie przykuwani do ściany wirtualnej jaskini przyzwyczajają się do takiego stanu rzeczy; więcej – poprawiają jakość i komfort skucia. W miejscu kajdan widzą bransolety.

Teatrzyk cieni zdomowił się w wytworach mediopodobnych. Na afiszach: kłamstwa, półprawdy, prawdy częściowe, nasze prawdy. Na ścianie: w roli informacji występuje propaganda, sztukę gra kicz, w piosenkę wciela się disco polo, a komedianci udają kabaret. Poziom teatrzyku miżerny, ale nic to! – ważne, że dostosowany do percepcji obserwujących. W zakłamej rzeczywistości Prawdę zastępuje prawda ekranu – tym łatwiej, że ekran jest bezwonny.

Obserwując cień nie jest łatwo odróżnić prawdziwe od zastępczego; właściwie nazwać namiastki, imitacje, protezy... Kamuflażowi sprzyja dodanie godnej etykiety. Aby skuteczniej upodobnić ersatz do produktu nazywają go narodowym. Pod takim znakiem mogą wrogiem ogłosić każdego, kto zechce przeprowadzić kontrolę jakości towaru. Dadzą mu łatę „anty”. Pokażą narodowi, że tamten jest uzbrojony w kij (do wkładania w nasze, narodowe szprychy). Narodowe programy, rady, fundacje, centra, fundusze, stadion, szpital, edukacja... Paranoja – narodowa.

Reżyserzy sprawnie dozują napięcie, tonują nastroje. Twórczo zmieniają styl. Po kielbasie kolej na salami – krok po kroku. Wnoszą protezy demokracji, surrogaty prawa. Jest też samo-swojska sprawiedliwość wraz z quasi sądami. Szmer wśród odbiorców, więc pokazują im coś oryginalnego: specjalny czytnik – narodowy. Pora na przerwę.

Spadkobiercy Ezawa kupią wszystko. W ofercie mają selektywne wolności, zestawy tarcz, lukrowane historie wybrane, narodową dumę, rozrywki dla zwykłych, rewaloryzowane mandaty, stępki, pierwsze łopaty, kodeksy, godnościowe statystyki. Po sąsiedzku: szczepionki na tęczowe zarazy, leki na seksualizację, zbiory obrażanych uczuć, katechizmy dla maluczkich, religijne kastety (i zwykłe różańce), reduty i szafce, gry i zabawy w chowanego, medialne męczeństwa,

ustawy ewangelizujące, mapy geodezyjne.

Zakłamanie i obłudni kuglarze.

Oswojeni i wygodniccy widzowie.

Życie w krainie mentalnego nizu. Zabiorą, wymieniają, rozdadzą. Pouczą, postraszą. Oceniają, posegregują. Pogłaszczą, potarmoszą. Poniżą, wywyższą. Zlikwidują, utworzą. Odślonią, poświęcą. Obostrzą, poluzują. Wprowadzą orwelowskie znaczenia. Wytworzą podróbki. Zdewaluują wartości.

Fot. Roxana Tutaj



Toporna propaganda. Kłamstwa bez nutki finezji. Okłamywanie kłamstwem ordynarnie prostym do zweryfikowania, kłamstwem, które uwłaczać może inteligencji okłamywanych. Aktualnie w promocji: znowelizowany, rozszerzony, zrepolonizowany i przypisami dla jasności opatrzone ukaz carski o podwładnych i przełożonych. I znowu ich wybiorą.

Dzwon na trwogę...

„Marian Turski jest nam dzisiaj bardzo potrzebny. Jako autorytet, jako przewodnik. Pana wędrówka, Panie Marianie, się nie zakończyła. Na ulicach polskich miast niemal codziennie odbywają się kolejne marsze. Następne pokolenia walczą o swoje prawa – o demokrację, o praworządność, o godne traktowanie przez władzę. Także o to, abyśmy pozostali w Unii Europejskiej. Walczą silne kobiety pod przewodnictwem Marty Lempart o prawo wyboru. Walczą dziennikarze o niezależność własnej profesji i przestrzeń, w której będą mogli zachować wolność słowa. Walczą sędziowie o swoją godność zawodową. Wielu Polaków usłyszało Pańskie ostrzeżenie”².

Jedenaste. Nie bądź obojętny!

Oderwani od rzeczywistości.

Żyjący w swoim świecie.

Ersatz czy życie?

Sztucznym miodem karmieni...

Platońscy więźniowie mogą próbować poznania prawdziwej rzeczywistości, jeśli odważą się wyzwolić z kajdan i wydostać z jaskini. Ale – „A rozpatrz sobie – dodałem – ich wyzwolenie z kajdan i uleczenie z nieświadomości. Jak by to było, gdyby im naturalny bieg rzeczy coś takiego przyniósł; ile razy by ktoś został wyzwolony i musiałby zaraz wstać [...] i patrzeć w światło,

cierpiałby robiąc to wszystko, a tak by mu w oczach migotało, że nie mógłby patrzeć na te rzeczy, których cienie poprzednio oglądał. Jak myślisz, co on by powiedział, gdyby mu ktoś mówił, że przedtem oglądał ni to, ni owo, a teraz coś bliższego bytu, że zwrócił się do czegoś, co bardziej istnieje niż tamto, więc teraz widzi słuszniej; i gdyby mu ktoś teraz pokazywał każdego z przechodzących i pytaniami go zmuszał, niech powie, co to jest. Czy nie myślisz, że ten by może był w kłopotcie i myślałby, że to, co przedtem widział, prawdziwsze jest od tego, co mu teraz pokazują? [...]

– A jeszcze i nad tym się zastanów. Gdyby taki człowiek z powrotem na dół zszedł i w tym samym szeregu usiadł, to czy nie miałby oczu napełnionych ciemnością, gdyby nagle wrócił ze słońca? [...]

–A gdyby teraz znowu musiał wykladać tamte cienie na wyścigi z tymi, którzy bez przerwy siedzą w kajdanach, a tu jego oczy byłyby słabe zanim by nie wróciły do siebie [...] to czy nie narażałby się na śmiech i czy nie mówiono by, że chodzi na górę, a potem wraca z zepsutymi oczami, i że nie warto nawet chodzić tam pod górę”³.

Pora na pytania.

PRZYPISY

¹ Platon. *Państwo. Księga VII*.

² Adam Bodnar. 10 grudnia 2020. [www.oko.press]

³ Platon. op. cit.

Michał LORENC

Krótkie podsumowanie przed dalszą drogą

Na tropach lodowca... Część 10

W artykułach tego cyklu zwracamy uwagę na ślady, które na ziemi śremskiej pozostawił po sobie lądolód. Można by rzec, podążamy jego tropem. Ten artykuł, mówiąc nieco z rozmachem, jest jubileuszowy, dziesiąty. Jest też nieco inny. Zdecydowana większość form rzeźby polodowcowej, w tym formy łatwe do zaobserwowania w terenie, zostały już w tym cyklu omówione dlatego godne powyższego jubileuszu będzie krótkie podsumowanie tematyki poszczególnych artykułów.

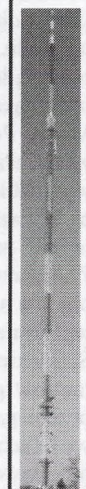
Wcześniej jednak warto przypomnieć głównego bohatera tego cyklu artykułów, którym jest lądolód skandynawski. Powstał około 25 000 lat temu, w północnej Skandynawii, w rezultacie postępującego ochłodzenia klimatu. Jak wszystkie lodowce powstał w wyniku długotrwałego zalegania śniegu i jego przeobrażenia w lód. Lód jest ciałem plastycznym, więc powstający lądolód rozprzynał się we wszystkich kierunkach - szczególnie na południe. Ze średnią prędkością do 0,5 metra na dobę lodowy gigant zbliżał się do ziemi śremskiej. W ten sposób odległość dzielącą południową Szwecję od okolic Śremu pokonał w około 2000 lat. Około 20 000 lat temu lądolód dopłynął w okolice Dolska, zatem kilkanaście kilometrów na południe od Śremu i tam się ostatecznie zatrzymał. To maksymalny zasięg tego lądolodu, nie tylko w Polsce, ale na Niżu Europejskim. Ziemia śremska znalazła się wówczas pod przykryciem lodu, którego grubość, w miejscu w którym znajduje się Śrem, wynosiła minimum 250 metrów, ale mogła sięgać nawet 650 metrów. Przyjmując średnią około 450 metrów, oznacza to, że wieża radiowo-telewizyjna w Górze, mierząca 290 metrów wysokości, w całości znalazłaby się pod lodem, co przedstawia rysu-

nek. Pomimo to, już około 19 500 lat temu, w wyniku ocieplenia klimatu, lądolód ustępował z ziemi śremskiej. Był to najbardziej rzeźbotwórczy okres. Podłoże kształtował bowiem nie tylko lód, ale także ogromne masy wód roztopowych uwalnianych z topniejącego lądolodu. Lodowy gigant pokazał swój kunszt rzeźbiarski, tworząc całą gamę polodowcowych form rzeźby terenu, po których prowadziły nas kolejne artykuły tego cyklu. Przypomnijmy zatem, jakim zagadnieniom były one poświęcone.

W pierwszym artykule tego cyklu (GŚ 7-8/2019) przedstawiona została forma terenu zwana rynną podlodowcową. Jak pamiętamy, pod lądolodem płynęły duże, rwące rzeki podlodowcowe. Szczególnie w miesiącach letnich, gdy temperatura powietrza osiągała wartości dodatnie, a lód się topił. Rzeki te wymywały (erodowały) podłoże, tworząc swoje koryta. To są właśnie rynny podlodowcowe. Zachowały się one w rzeźbie terenu do dzisiaj. Co więcej, zazwyczaj są formami bardzo wyraźnymi, stanowiąc długie, głębokie i wąskie obniżenia, często o stromych zboczach. Po zaniku lądolodu w rynnach powstawały jeziora, zwane rynnowymi. Również one, co zrozumieliśmy, są silnie wydłużone, wąskie i zazwyczaj głębokie. Przykładem jeziora rynnowego jest Jezioro Grzymsławskie, którego wąska, głęboka i długa

Średnia
grubość
lodu
450m

LÓD



Rys. Średnia grubość lądolodu w rejonie Śremu, w porównaniu z wysokością wieży radiowo-telewizyjnej w Górze



Fot. 1. Warta w pradolinie. Fot. 2. Oczekiwania radiowo-telewizyjna w Górze

rynna jest znakomicie widoczna od strony Śremu, jak również z wielu innych miejsc. Są punkty, w których dno tej rynny (jeziora) znajduje się 30 metrów poniżej jej krawędzi. Spacerując wzdłuż brzegu Jeziora Grzymisławskiego pokusimy się o refleksję, że jest to spacer w głębokiej rynnie podlodowcowej. Innym jeziorem rynnowym na ziemi śremskiej jest jezioro Mórka, Cichowo i Zbęczny.

W drugim (GŚ 9-10/2019) zadane zostało pytanie: dlaczego rzeka Warta zakręca w Śremie? Choćby pobieżne spojrzenie na mapę pozwala dostrzec, że Warta zmienia tutaj swój bieg pod kątem prostym z zachodniego na północny. Warto przypomnieć, że na odcinku śremskim Warta płynie w pradolinie, której szerokość sięga tutaj 10 km (Fot. 1). Jest to rozległe, głębokie, płaskodenne obniżenie, pochodzące z okresu zaniku lądolodu. Zostało utworzone przez wody roztopowe lądolodu i rzek płynących z południa, które tą drogą odpływały na zachód, gdzie uchodziły do Morza Północnego. Właśnie te ogromne masy wody, większe niż we współczesnej Amazonce, wyrzeźbiły w podłożu obniżenie zwane Pradolina Warszawsko-Berlińską. W pradolinie znajduje się prawdopodobnie Śrem i takie wsie jak Zbrudzewo, Mechlin, Dąbrowa, Luciny, Niestabiny. To największa pradolina w Europie. Jednak wpływając do Śremu, na wysokości Muzeum Śremskiego, Warta trafia na wysoki na ponad 20 metrów gliniasty stok. Po krawędzi tego stoku przebiega w Śremie ulica Mickiewicza, Kolejowa i Zachodnia. Jest to krawędź tzw. wysoczyzny podlodowcowej, przybliżonej w innym artykule

tego cyklu. Tak znaczna przeszkoda sprawia, że bieg pradoliny i w rezultacie Warty zmienia się na północny, a rzeka płynie przez Śrem pod owym stokiem wysoczyzny. Zatem nawet bieg królowej rzek Wielkopolski stanowi na ziemi śremskiej trop lądolodu.

W trzecim artykule (GŚ 11-12/2019) zainteresowaliśmy się oczami, czyli wałami, których długość na ziemi śremskiej przekracza często 2 km, a wysokość sięga kilkunastu metrów. Wyraźnie uatrakcyjniają rzeźbę terenu, szczególnie po zachodniej i północno zachodniej stronie Śremu, w rejonie wsi Gaj, Szymanowo i Góra. Na ozie znajduje się wieża radiowo-telewizyjna w Górze (Fot. 2). Wały ożowe powstały w podlodowcowych tunelach, którymi płynęły wody roztopowe lądolodu. Stanowią rezultat nagromadzenia w tych tunelach piasku i żwiru niesionego przez wodę. Stąd ozy są długie, wąskie i kręte, jak tunele podlodowcowe, w których powstały.

Tematem czwartego artykułu (GŚ 3-4/2020) były kemy, czyli pagórki i garby, których część jest bardzo widoczna w terenie, wznosząc się ponad 10 metrów ponad swoje otoczenie. Przypominamy, że są to formy zbudowane głównie z piasku i żwiru, który zgromadził się na dnie jezior istniejących na powierzchni lądolodu lub przed czołem zanikającego lądolodu. Najliczniej kemy występują po północno-zachodniej stronie Śremu, w okolicy Psarskiego, Szymanowa (na kemie znajduje się stacja paliw w Szymanowie), Manieczek, Przylepek (część tej wsi znajduje się na kemie), po Brodnicę (Fot. 3). Większość punkto-



Fot. 3. Kem w Przylepkach. Fot. 4. Morena czołowa z punktem widokowym w Dolsku



wych wzniesień, które znamy z tego terenu, to właśnie kemy. Kilka kolejnych pagórków kemo-wych znajduje się po zachodniej stronie Jeziora Grzymisławskiego, w okolicy wsi Gawrony (część tej wsi znajduje się na kemie), Międzychodu, a także koło Pinki.

Piąty artykuł (GŚ 5-6/2020) zaprowadził nas na najwyższe wzniesienia ziemi śremskiej, czyli na moreny czołowe. Formy te potrafią imponować swoją wysokością. Moreny czołowe powstają tuż przed czołem lądolodu (stąd ich nazwa), zazwyczaj z materiału wytopionego z lodu. Tym wytopionym materiałem jest glina lodowcowa (zwana też zwałową), czyli mieszanina wszelkich okruszków skał i minerałów o zróżnicowanej wielkości: od drobin wielkości tysięcznych milimetra po potężne głazy polodowcowe. W artykule przybliżone zostały moreny czołowe okolic Dolska. Na jednej z nich, przy wjeździe do Dolska od strony Śremu, na wysokości 114 m n.p.m., znajduje się atrakcyjny punkt widokowy (Fot. 4). Najwyższa jest jednak Czarna Góra koło Ostrowieczna, osiągająca wysokość 149 m n.p.m. Wznosi się około 35 metrów ponad swoje otoczenie (to wysokość 10-piętrowego wieżowca). Obecność moren czołowych w okolicy Dolska to nie przypadek. Jak wspomniano, właśnie tam, około 20 000 lat temu, zatrzymało się czoło lądolodu, który w ten sposób osiągnął swój maksymalny zasięg. Przed czołem lądolodu powstawały wówczas wzgórza moren czołowych.

Szósty (GŚ 7-8/2020) był poświęcony głazom polodowcowym. Są to skały wyrwane z podłoża przez płynący z północy lądolód, następnie przez niego transportowane, a ostatecznie zdeponowane w trakcie topnienia lodu. Pochodzą głównie ze

Skandynawii, w mniejszym stopniu z podłoża Bałtyku (pamiętajmy, że gdy lądolód się rozrastał, Bałtyk jeszcze nie istniał). Głazy te zwane są również narzutowymi, gdyż zostały „narzucone” przez lądolód. Inna ich nazwa – eratyki, pochodzi z łaciny, gdzie „errare” oznacza błędzić. Głazy te są nie tutejsze, obce, czyli „zbłąkane”. W artykule poznaliśmy najbardziej znane i okazałe głazy w Śremie, zazwyczaj wyeksponowane, często pełniące funkcję pamiątkową (Fot. 5). Zwrócono również uwagę na okazałe eratyki znajdujące się poza Śremem. Pod względem ilości głazów wyróżnia się gmina Dolsk, gdzie w rejonie wsi Brzeźnica, Małachowo i Księginki znajduje się największe skupisko eratyków podlegających prawnej ochronie w formie pomników przyrody w Wielkopolsce.

Siódmy (GŚ 9-10/2020) dotyczył miejsc, w których na pozór trudno o tropy lądolodu. Są to tereny płaskie jak przysłowiowy stół, czasem nieco faliste. Są to wysoczyzny polodowcowe płaskie i faliste. Wysoczyzny płaskie powstały tam, gdzie lądolód zanikał równomiernie, w rezultacie pozostawiając po sobie wyrównaną warstwę gliny lodowcowej. Taką wysoczyznę w pełnej okazałości możemy obserwować po zachodniej stronie Śremu, od granic miasta przez otoczenie Nochowa po Wyrzekę i dalej po okolice Rąbina lub w rejonie Błociszewa i Krzyżanowa po Stary Gołębin i Czempin. Tutaj grubość warstwy gliny lodowcowej sięga 35 metrów. Wysoczyzna polodowcowa płaska obecna jest również w okolicach Manieczek po Górę i Brodnicę. Tutaj jednak jej powierzchnię znacznie urozmaicają wspomniane ozy i kemy. Natomiast tam, gdzie lądolód zanikał nierównomiernie, w pewnych strefach szybciej, w innych wolniej, wytapiająca się z nie-



Fot. 5. Eratyki w Parku Powstańców Wielkopolskich w Śremie. Fot. 6. Wysoczyzna falista koło Jaskowa

go glina lodowcowa gromadziła się w zróżnicowanych ilościach, tworząc wyraźne wzniesienia i obniżenia terenu, który dzięki temu jest falisty. Wysoczyznę falistą możemy obserwować np. pomiędzy Śremem i Szymanowem lub Górą i Jaskowem (Fot. 6). Wysoczyzny polodowcowe ziemi śremskiej zazwyczaj są pokryte przez rozległe pola uprawne. Pod krawędzią wysoczyzny płynie Warta w Śremie i dalej na północ po Jaskowo.

Ósmy (GŚ 11-12/2020) zwrócił uwagę na zagłębienia wytopiskowe. Jak pamiętamy, są to zagłębienia o nieznacznej powierzchni, owalnym kształcie i zazwyczaj stromych zboczach. Powstały w rezultacie wytopienia brył lodu pozostałych przez zanikający lądolód. Zagrzebane w podłożu, odcięte od ciepła promieniowania słonecznego, w warunkach klimatu znacznie chłodniejszego niż obecny, wytapiały się one bardzo wolno, nawet kilka tysięcy lat. W końcu jednak, wszystkie pogrążone w podłożu bryły lodu uległy wytopieniu, a w pozostałych po nich pustkach powstały zagłębienia wytopiskowe. Część zagłębień wypełnia obecnie woda tworząc tzw. oczka polodowcowe, zwane też oczkami wytopiskowymi. Większe z nich to jeziora wytopiskowe. Taką genezę posiada oczko wodne w Miejskim Parku Ekologicznym im. Włodzimierza Puchalskiego w Śremie. Wytopienie innej bryły martwego lodu miało wpływ na powstanie Jeziora Gajewskiego koło wsi Gaj. Szereg innych oczek wytopiskowych znajdziemy wśród pól, na wysoczyźnie płaskiej i falistej (Fot. 7).

Dziewiąty („GŚ” 1-2/2021) zaprowadził nas na południe od Śremu, w okolice Włoszczewic. Tam bowiem znajdują się najlepiej wykształcone stożki sandrowe, zwane krócej sandrami. Warto przypomnieć, że są to łagodne wzniesienia powstałe przed czołem wytapiającego się lądolodu. Są rezultatem nagromadzenia piasków i żwirów niesionych przez wody roztopowe lądolodu. W okolicy Włoszczewic rozległe stożki sandrowe łączą się, tworząc równiny sandrowe. Włoszczewice znajdują się zatem na sandrach (Fot. 8).

Każdego dnia, w drodze do pracy, do szkoły, czy też będąc na spacerze, poruszamy się po tropach lądolodu lub przynajmniej je widzimy. Tak się dzieje, gdy spędzamy czas nad jeziorem rynnowym (rynna podlodowcowa), gdy jednym z mostów przekraczamy koryto Warty (pradolina), gdy przemierzając rozległe i płaskie okolice Śremu (wysoczyzny) dostrzegamy w krajobrazie punktowe lub wydłużone wzniesienia (kemy, ozy) lub obniżenia terenu, często wypełnione wodą i „udekorowane” kępami drzew (obniżenia wytopiskowe). Z tropami lądolodu spotykamy się, gdy nasz samochód w deszczowy dzień ugrzęźnie w mazistym podłożu (glina lodowcowa) lub widząc transport piasku i żwiru na pobliski plac budowy (piaski i żwiry polodowcowe). Takim tropem lądolodu spotykanym na co dzień są też okazałe głazy wyeksponowane na skwach, jak również zwykłe śródpolne kamienie. Przykłady można by mnożyć.



Fot. 7. Zagłębienie wytopiskowe koło Rusocina. Poniżej: Fot. 8. Włósciejewice wybudowane na sandrach

Niniejszy artykuł nie stanowi jednak końca naszej wspólnej wyprawy tropami łądolodu na ziemi śremskiej. W kolejnym artykule przyjrzymy się, w jaki sposób były i nadal są wykorzystywane różne dobrodziejstwa pozostawione nam przez łądolód, np. skały, formy terenu, zbiorniki i ciekły wodne. Posiadają one ogromne znaczenie dla człowieka i to w różnych obszarach jego aktywności.

Fotografie i rysunek Michał LORENC



Marta TOK

Na gorzko

Opowiadanie

Zapiekana cykorია

Weź jedną ładną cykorię na osobę, najlepiej liście z żółtymi końcówkami, odkrój centymetr korzenia i wyrzuć, dobrze opłucz warzywo pod zimną wodą. Jeśli zewnętrzne listki się odłączą, możesz związać warzywo sznurkiem, jak zrobił to bohater opowiadania, ale nie musisz. Gotuj cykorię w bulionie aż zmiękną, lecz nie będą rozgotowane (nie mniej niż 20 min). Odcedź i wyciśnij nadmiar bulionu, uważając, by się nie poparzyć, a potem każdą cykorię zawiń w plaster szynki (jeden, jeśli jest duży, jeśli mniejszy zawiń w dwa) i włóż do uprzednio posmarowanego masłem naczynia. Przykryj beszamelem, posyp startym serem mozzarella zmieszany z parmezanem. Wstaw do piekarnika nagrzanego do 180°C (termoobieg) na 20 minut. Można nie dodawać beszamelu tylko posypać samym serem, będzie bardziej fit.

Kiedy się wreszcie wprowadził do swojego nowego domu, postanowił zrobić przyjęcie. I samodzielnie wszystko ugotować.

Dom był nowoczesny, przestronny, salon zastawiony regałami z jasnego dębu – pustymi, gdyż nie chciało mu się wykladać książek z czekających w garażu zakurzonych kartonów. Wielka biblioteka była ładna sama w sobie, nie przeszkadzało mu, że półki stały puste. Centralne miejsce w salonie zajmował olbrzymi ekran podłączony do systemu kina domowego, bardzo wyszukanego. Wokół umieszczono trzy kanapy ze skóry, designerskie i kosztowne, wybrane przez przesadnie drogą dekoratorkę, którą zatrudnił. Z tarasu rozpościerał się wspaniały widok na dalekie łąki i, w głębi, płynącą cicho rzekę. Tak miało pozostać, gdyż tereny zakwalifikowano jako „zalewowe”, żadna budowla zatem nie miała nigdy

zakłócić tego bezkresnego widoku, dla którego zdecydował się pobudować właśnie tutaj, mimo dość skomplikowanego dojazdu do firmy. Najfajniejsza była jednak kuchnia, w której właśnie stał przygotowując cykorię. Zamiast tradycyjnych, porcelanowych kafelków, dekoratorka umieściła na ścianie wielkie oszklone zdjęcia, które zrobił kilka lat temu w Wenecji podczas samotnej wycieczki. Przestrzeń kuchenna była olbrzymia, a na środku stała przykryta szczotkowanym kamieniem wyspa, super wygodne miejsce do krojenia i przygotowania potraw, z czego bardzo często korzystał, gotując głównie dla siebie. No, ale dzisiaj było inaczej.

W amerykańskim filmie nazywałoby się, że zaprosił przyjaciół na kolację. Tymczasem jego goście byli w zasadzie przypadkową zbieraniną ludzi, spędzał z nimi czas, gdy już znudziła go samotność. Nie, wróć, zawsze, kiedy go zaprosili – na kolację, piknik, grilla, mecz, czy piwo. Właściwie nigdy nie odrzucał zaproszenia, chociaż za bardzo ich nie lubił. Trudno było mu nazwać ich przyjaciółmi. Wiedział z teorii, że przyjaźń opiera się na zaufaniu i wzajemnej akceptacji. Cóż, tutaj nie było mowy ani o jednym, ani o drugim. Jednak w głębi duszy bał się, że zostanie kompletnie sam, bez żadnych ludzi wokół siebie, tak, jak jego ojciec kilkanaście lat przed śmiercią. Ojciec, który był kiedyś duszą towarzystwa. A co dopiero on, zgorzkniały stary mruk bez dzieci, bez stałej partnerki, wydobywający się na powierzchnię permanentnej depresji wyłącznie za pomocą alkoholu.

Podgrzał bulion i teraz wkładał do garnka po kolei wszystkie cykorie obwiązane kuchennym sznurkiem. Nalał sobie kieliszek primitivo z Lidl'a i za-

brał się za siekanie cebuli i czosnku. Dziewięć osób. Było co robić, ale nie przeszkadzało mu to, lubił gotować. Poza tym nie zaplanował nic skomplikowanego do jedzenia: zapiekane cykorię w szynce, a na drugie linguini z pieczonym łososiem. Na deser sery i sałata. Odczuwał jednak lekki stres i zaczął zastanawiać się, skąd on się bierze. Znał swoich gości od lat, z niektórymi spotykał się przynajmniej raz w miesiącu, jednak nigdy w ich towarzystwie nie czuł się do końca dobrze. Zawsze miał wrażenie, że za dużo w tej grupie udawania, grania przed innymi. Tym bardziej, że kiedy spotykali się w mniejszym gronie, nie oszczędzali nieobecnych – śmiał się wtedy razem z nimi, zdając sobie sprawę z tego, że nie wie, co też oni naprawdę myślą o nim samym, ale utrzymywał, że go to nie obchodzi. Wyjął i odcodził cykorię. Lubił jej gorzkawy smak, który łagodniał w zestawieniu z pomarańczą lub, jak tym razem, z szynką. Układając warzywa w porcelanowym naczyniu do zapiekania, jedno obok drugiego, pomyślał, w gruncie rzeczy jestem taki sam, jak oni. Nie mówię nikomu prawdy. Nigdy.

Nie mówię, ależ się postarzeliliśmy, gdzie się podziały nasze marzenia, wystrzone spojrzenie, jasność myśli. Mówię – najważniejsze, że ciągle jesteśmy młodzi duchem. Nie mówię, ty, Alicjo za dużo pijesz, właściwie jesteś już chyba alkoholizką, po pijanemu zdradziłaś wszystkie sekrety, które ci powierzyliśmy, nie zastanawiając się, komu tym zrobisz krzywdę, kto cię weźmie na poważnie, nawet twoje dzieci nie... Mówię, dobrze cię widzieć, ładnie wyglądasz, choć to nieprawda, jak możesz wyglądać ładnie, ciągle zapuchnięta po wczorajszym chłaniu, łapiesz resztki z życia zanim zrobi się z ciebie fanatyczka religijna, jak twoja matka. Musimy się spotkać,

napić wina, mówię. Nie mówię, Marek, przynudzasz, kogo obchodzą te twoje długie wywody na temat polityki czy sztuki, jesteś nadętym bufonem z kijem w tyłku, wiem, że to wynika ze strachu przed tym, że nie sprostasz i prawda o twojej ignorancji, braku talentu, wyjdzie na jaw. Mówię, dobrze to powiedziałaś, skąd ty to wszystko wiesz. Nie mówię, co ty właściwie sobą reprezentujesz, Roman, bo oprócz tego, że umiesz bardzo szybko liczyć, kto komu ile i co się opłaca, jeździć szybkimi samochodami, i wyrwać, coraz młodsze laski, nic więcej nie wiesz, powtarzasz, jak papuga, rewelacje kolejnego napotkanego guru i uważasz, że zjadłeś wszystkie rozumy, bo umiesz dobrze zarabiać hajs... I co ty będziesz robić, kiedy dogoni cię schyłek życia? Drobnymi kroczkami, w butach jachtowych najnowszej mody, będziesz dreptał w stronę kafejki nad oceanem na południu Europy, pełnej tak samo jak ty bogatych samotnych starców z nową, plastycznie zreperowaną partnerką? Mówię, no niezła ta nowa fura, Romek. Nie mówię, marnujesz sobie życie z tym twoim głupim mężem, Kaśka, on cię nie docenia i traktuje jakbyś musiała już z nim być do końca świata, a przecież to ty jesteś ta mądrzejsza, ta, co wie wszystko, interesuje się, i walczy dla siebie, dla córek, nawet dla niego, tego pajaca, który traci życie szyderczo rozwalony przed telewizorem. Mówię, jak się masz, twoje dziewczyny tak szybko rosną, co u Marka. Nie pytam, jesteś może gejem Stachu? Bo dlaczego ta nieustająca samotność u faceta takiego jak ty odważnego, wesołego, wyluzowanego pełnego radości z życia i życzliwości dla ludzi? Jeśli tak, to masz rację, nigdy się do tego nie przyznawaj, nie w tym kraju, mieście, zeżrą cię z głową, pożrą żywcem. Mówię, Stachu nie bądź taki święty naiwny. Nie mówię, Anka, po co tkwisz

przy tym człowieku, który może daje ci więcej przestrzeni niż kobietom w tradycyjnych związkach, ale nigdy go nie ma przy tobie, kiedy potrzebujesz, zawsze gdzieś na końcu świata, co z tego, że inteligentny, mądry i dowcipny cztery razy do roku, w końcu i tak cię zmieni na młodszy model... Odejdź wreszcie, seriale nie zastąpią ci życia, halo, ja tu ciągle jestem i czekam... Mówię, pozdrów Jerzego przy następnej rozmowie na skajpie. Nigdy nie mówię, Gruby, wszystko, co miałeś, zmarnowałeś w nagłym, potężnym, nieopanowanym pragnieniu powrotu do młodości, beztroski, muzycznych klimatów z liceum, dążąc do udowodnienia, że tak, to ty jesteś tym z braci, któremu życie udało się lepiej, to ty teraz wreszcie bębniysz, rządzisz jak należy, ale trochę trudności i twoje życie runęło jak domek z drewnianych klocków z naszego dzieciństwa, co się stało z twoją charyzmą, Gruby? Mówię jak tam koncert, słyszałem, że udany... No i nigdy nie mówię Eli - popełniłeś błąd, wiążąc się z tym facetem dużo starszym i głupszym od ciebie i zaczynając wszystko od nowa, co z tego, że tak odważnie „zrobiłaś wreszcie coś dla siebie”, i tylko dla siebie, zostawiając dzieci światu, bo dla niego je wychowałaś... Pewnie na końcu zostaniesz z pustką... Albo z piątym mężem, ale właściwie to chyba lepiej, co ja tam wiem. Mówię, jesteś świetna, bo to akurat prawda, chociaż nasza przyjaźń nie ma przyszłości...

Może nadszedł moment, żeby im to wszystko wygarnąć? I pozamykać te drzwi na zawsze?

Posmakował sos, dodał parmezan i pieprz. Natasha, sprzątaczką, nakryła stół rano. Nie miał już zbyt wiele do roboty. Nastawił piekarnik. Dolał sobie wina i włączył płytę Stana Getza z brazylij-

skim jazzem. Muzyka wypełniła jego piękny dom i poczuł się dobrze. Spotykali się od lat, czasami od liceum, meblując swoją wspólną samotność piciem, jedzeniem i niezobowiązującą konwersacją. Ale czasami, tak jak dzisiaj, dopadał go gniew i frustracja na tą całą hipokryzję, zmyślanie, fałszywe gesty udawanej przyjaźni.

Dzwonek u drzwi obudził go z zadumy. Odstawił kieliszek, rzucił okiem na ładnie udekorowany stół i podszedł do drzwi wejściowych.

– No cześć, Alicjo – powiedział – dobrze cię widzieć. Ładnie wyglądasz. Nalać ci wina?...

Ewa NOWAK

Chusteczka do nosa

Rzeczy minione

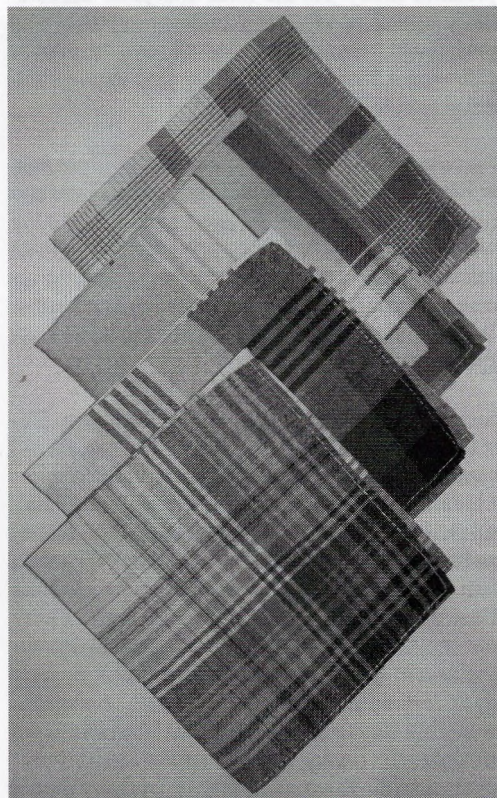
Chusteczka do nosa – kawałek płótna niewielkich rozmiarów, starannie obszyty, czasem wykończony misterną мережką. Biały lub kolorowy. Gładki, w kwiatki lub w kratę. Dla pań, panów i dzieci. Zwyczajna – niezwykajna rzecz codziennego użytku w poprzednim stuleciu. Teraz prawie zapomniana, zastąpiona przez ligninowe chusteczki jednorazowego użytku.

Ta niepozorna na pierwszy rzut oka rzecz, przedmiot ma historię znacznie dłuższą i ciekawszą niż moglibyśmy przypuszczać. Znali ją już i używali Rzymianie w II w. p.n.e – nazywana była sudarium i służyła do ocierania potu z twarzy i zasłaniania ust. W starożytnym Egipcie noszono je na szyi, pełniły rolę amuletu szczęścia. Również w starożytnej Grecji były znane i używane – wycierano nimi twarz, a nos? Nos wycierało się dłonią. W Europie pojawiły się w okolicach XIV/XV wieku. Włosi używali ich do wycierania nosa i twarzy, ale to właśnie we Włoszech zaczęto powszechniej używać ich do wycierania nosa. W XVI-wiecznej Anglii małe chusteczki nosili przypięte przy kapeluszach panowie obdarowani nimi przez swoje wybranki.

W kolejnych latach chusteczki stawały się coraz bardziej luksusowe i dekoracyjne, wykonywano je z drogich materiałów, ozdabiano drogim haftem, wyszywano cennymi kamieniami. Powoli zaczęły być jednak skromniejsze i bardziej użyteczne. W 1685 roku, król Francji Ludwik XIV wydał dekret, na mocy którego chusteczka miała być kwadratowa. W XVIII wieku stały się właściwie niezbędne – powszechne używanie tabaki wymagało ochrony przed skutkami kichnięcia.

W 1924 roku pojawiły się w sprzedaży pierwsze chusteczki papierowe – produkowane przez amerykańską firmę Celulose Products Co.

W Polsce zaczęto je produkować dopiero w latach 70. XX wieku, ale i tak używano nadal chusteczek płóciennych. Z różnych powodów, przede wszystkim jednak brakowało tych jednorazowych. Obecnie jednorazowe chusteczki higieniczne zdecydowanie wyparły chusteczki wielorazowe. Materiałowe używane są nadal, nabrały charakteru, przypominają minioną elegancję i szyk, często towarzyszą ważnym uroczystościom.



Marceli SZCZĘŚNY

Grosz do grosza

SENTYMENTY

I do skarbonki. Ale pieniądź w skarbonce to pieniądź martwy, bezużyteczny, bowiem w myśl powiedzenia: „pieniądz robi pieniądź”, powinien on mieć szybki, żywy obieg. Zadanie to doskonale spełniają banki. Mówiąc w uproszczeniu – wkład pieniężny przynosi procent, a pożyczka pozwala podjąć przedsięwzięcia dające dochód.

Pierwsze polskie banki spółdzielcze w zaborze pruskim miały jeszcze inne, specjalne zadanie. Stały się redutą odpierającą zakusy na polski stan posiadania. Szczególnie w okresie działania osławionej Komisji Kolonizacyjnej zainicjowanej przez Otto Bismarka.

Pierwszy bank ludowy powstał w Poznaniu w 1861 r. Wkrótce placówki takie zorganizowano prawie we wszystkich miasteczkach a nawet we wsiach. Do roku odzyskania niepodległości mieszkaliśmy w Chwałkowie. Pamiętam, że ojciec korzystał z pomocy istniejącego tam banku. W sąsiedniej wsi, Mchach, również działała kasa spółdzielcza.

Śremska placówka należy do najstarszych. Została założona 29 V 1873 r. Jej pierwszy zarząd stanowili: prezes – dr A. Broeckere, członkowie – Madaliński i Skoraczewski. Początkowo bank mieścił się w domu Madalińskich przy ul. Farnej za budynkiem narożnikowym od Rynku. Istnieją tam jeszcze duże okna. Nową piękną siedzibę Banku zbudowano przed I wojną światową przy obecnej ul. Ks. P. Wawrzyniaka, który będąc wikariuszem przy farze, od 1874 r. pełnił funkcję dyrektora tej placówki przez 24 lata, zaangażowany był równocześnie jako działacz prawie we wszystkich organizacjach społeczno-kulturalnych miasta. Również z jego inicjatywy stanął

piękny dom dla księży obok szpitala. Także dr Seweryn Matuszewski przez długie lata kierował spółdzielczą instytucją bankową W 1937 r. wmurowano na frontonie budynku tablicę z podobizną ks. Wawrzyniaka. Hitlerowcy kazali ją zdjąć po wejściu do Śremu w 1939 r. Dzięki ryzykownemu zaangażowaniu się pracowników gazowni – Kazimierza Gulika i Ignacego Taciaka – tablicę udało się bez uszkodzeń przechować, by po odzyskaniu niepodległości mogła wrócić na dawne miejsce. W okresie okupacji w biurach bankowych wydawano kartki żywnościowe i na węgiel. Z okien domu naprzeciw Banku, w którym mieszkaliśmy, obserwowałam, jak w mroźne grudniowe i styczniowe dni pierwszego roku okupacji od rana ludzie wystawiali przed wejściem do biura, bo wpuszczano tylko kilka osób jednorazowo. Pilnował tego Bohle, volksdeutsch, który na prośby przemarzniętych ludzi, żeby pozwilił wejść chociaż do sieni, wykrzykiwał (pamiętam dokładnie): „Ja mam rozkaz wszystkich nie wpuszczać”. W południe większość wracała do domu bez kartek na węgiel, bo limit dzienny został wyczerpany.

Oprócz kas spółdzielczych pod koniec lat dwudziestych powstały w Śremie jeszcze dwie instytucje bankowe: Komunalna Kasa Oszczędności w budynku obok Ratusza oraz tam gdzie dziś NBP – Powiatowa Kasa Oszczędności. Pierwszą kierował Alfons Wiese, a drugą Marian Kończak. KKO w dużym stopniu przyczyniło się do rozwoju handlu i rzemiosła w mieście. Osobiście wspominam je z wielką sympatią i wdzięcznością, bowiem tak jak i moi koledzy z miejsca pracy, byliśmy często jej klientami w potrzebie. Użytkowaną wekselską pożyczkę spłacało się w bardzo dogodny sposób. Po upływie kwartału należało



Budynek Banku Ludowego w Śremie, obecnie siedziba SBL. Fot. Piotr Pieczykolan, 2021 r.

część uregulować gotówką, a na pozostałą sumę wystawiało się nowy weksel. Podczas okupacji w budynku KKO mieścił się komisariat miejskiej policji z aresztem w piwnicach. Jedyne bank niemiecki zajął lokale kasy powiatowej. Tutaj po wyzwoleniu pod koniec lutego, na polecenie starosty K. Kozłowskiego zorganizowano wymianę pieniędzy. Za 500 mk (najwyższa kwota wymiany) zapłaciliśmy 25 zł. Tak więc wszyscy stawaliśmy się finansowo zrównani.

W krótkim czasie po wyzwoleniu dyrektor Wiese uruchomił bank miasta. Pamiętam, że udzielił on Magistratowi krótkoterminowej pożyczki na opłacenie w czerwcu 1945 r. dwóch pociągów

węgla, które z własnej inicjatywy i przy osobistym zaangażowaniu się, wyjechawszy na Śląsk, wyjednał dla Śremu Marian Nowak, ówczesny kierownik wydziału przemysłu w Starostwie. Dzięki temu gazownia miała na dłuższy czas zabezpieczoną produkcję, to samo piekarnia, młyn i odlewnia.

Na skutek zmian ustrojowych KKO istniało jeszcze tylko w 1946 r. W jej miejsce powstał najpierw Bank Rolny, a później Narodowy Bank Polski. Bez zmian został jedynie Spółdzielczy Bank Ludowy.

KWESTIONARIUSZ KULTURY



Fot. Złoty Liść Studio Fotografii Plastycznej

PAWEŁ WAWRZYNIAK

Zodiakalny Baran, rocznik 1981. Mieszka i pracuje w Śremie. Z wykształcenia - politolog w specjalizacjach administracja samorządowa i zarządzanie zasobami ludzkimi.

Z „zawodu” – właściciel firmy, w przeszłości dziennikarz m.in. „Tygodnika Śremskiego”. Z zamiłowania – kolarz górski, a w ostatnich latach biegacz i maratończyk. Z potrzeby chwili – wolontariusz, założyciel Pomocnej Dłoni.

1 Kim jestem...

Polakiem, śremianinem – lubującym na równi obie te „ojczyzny”. Poza tym takim wydaje się dość normalnym 40-latkem.

2 Co jest najważniejszym osiągnięciem mojego życia...

Powiedzenie, że dom, drzewo i synowie jest w tym przypadku nader trafne. Może nie do końca w tej kolejności, ale efekt końcowy taki sam.

3 W czym jestem dobry...

Na to pytanie mogą odpowiedzieć najlepiej Ci co mnie znają. Jeśli już coś osobiście, to wydaje mi się, że w kwestiach organizatorskich radzę sobie w miarę przyzwoicie.

4 Co jeszcze chcę osiągnąć...

Niech to zostanie w głębi mojej wyobraźni. Do marzeń trzeba dążyć, a nie tylko o nich mówić.

5 Co chcę w sobie zmienić...

Jeśli na siłę będę chciał się zmieniać, istnieje poważne ryzyko, że przestanę być sobą. Oczywiście, zawsze jest możliwość poprawy i doskonalenia, aby być po prostu lepszym.

6 Co daje mi szczęście...

Staram się cieszyć nawet z małych rzeczy. Udało się dziś wszystko zrobić co zaplanowane – to świetnie. Naleśniki zrobione w biegu smakowały „młodym” – jeszcze lepiej.

7 Najważniejszy dzień w moim życiu...

W zasadzie dwa w odstępie trzech lat. Gdy towarzysząc żonie przy porodzie zobaczyłem, no i usłyszałem oczywiście moich synów.

U przyjaciół najbardziej cenię...

To, że są. Że można porozmawiać z nimi na rozmaite tematy i oczyścić głowę, gdy to najbardziej potrzebne.

Bohaterstwo to dla mnie...

Wierzę, że bohaterem można być w każdej codziennej sytuacji, np. pomagając innym, czasem nawet w najbardziej trywialny sposób.

Epoka, w której chciałbym żyć...

Nie ma takiej jednej, wybranej. Gdybym mógł jednak odbyć podróż w czasie poprzez kolejne epoki, może dzięki temu zrozumiałbym lepiej motywy, którymi kierowali się ówcześni ludzie.

Największym nieszczęściem byłoby dla mnie...

Nawet nie chcę sobie tego wyobrażać, bo takie obrazy zostają na długo w pamięci.

Najcenniejsza rzecz, jaką posiadam...

Stawianie czegokolwiek nad zdrowie jest okłamywaniem samego siebie.

Moja największa wada...

Sporo, ale niech zostanie, że walczę z nimi. Czasem zwyciężam, czasem walka trwa dłużej.

Główna cecha charakteru...

Cały czas się wykształca.

Moje motto życiowe...

By każdy kolejny dzień nowym był wyzwaniem.

Ulubiony dźwięk...

Zależny od chwili i nastroju. Raz to będą pierwsze nuty muzyki klasycznej Bacha, a kiedy indziej znów żywe dźwięki, choćby Perfectu.

Dźwięk, który mnie denerwuje...

Kreślenie piszcząca na tablicy, czy przycinany styropian. Brr...

Nie mógłbym żyć bez...

Wolności poglądów i przekonań.

Co wzbudza we mnie lęk...

To, że ludzkość tak szybko zapomina o okrucieństwach totalitaryzmów XX wieku, wracając nader

często w obecnych działaniach i populistycznych hasłach do tych najmroczniejszych kart historii.

Moje ukryte marzenie...

Myślę i marzę o różnych rzeczach, niekoniecznie chcę jednak mówić o nich na głos.

Dar natury, który chciałbym posiadać...

Cokolwiek, co pozwoliło by zmniejszyć troski ludzkości. Pozostaję w tej kwestii jednak realistą. Ba, nawet zahaczam o pewien pesymizm.

Zawsze śmiesz mnie...

Mamy to szczęście, że nasi komicy potrafią bardzo celnie recenzować rzeczywistość. Dobry kabaret zawsze poprawia mi humor.

Słowo, którego nadużywam...

Nieparlamentarne i nie do cytowania.

Zdanie o mnie, które zapamiętałem...

Moi znajomi mówią ostatnio, że często słyszą: „był tu taki sympatyczny i młody pan z Pomocnej Dłoni”.

Myśl, która pojawia się, gdy nie jest najlepiej...

Co zrobić, żeby jednak było dobrze. Czasem staje się ona taką swoistą obsesją.

Osobie bliskiej nigdy nie wybaczę...

Życie jest za krótkie, żeby nie wybaczać. Można się pogniewać, ale czas i tak robi swoje.

Wolność to dla mnie...

Wolność i zdrowie są wszystkim, co potrzebne do udanego przeżywania swoich dni.

Kim chciałbym być, gdybym nie był tym, kim jestem...

No i trafiło się też takie pytanie, na które jedyna sensowna odpowiedź brzmi: nie wiem.

Obecny stan mojego umysłu...

Już myślę o tym, co trzeba zrobić jutro.

Kim chcę zostać w pamięci innych...

Żyć i działać zgodnie ze swoim sumieniem, a także elementarną przyzwoitością. A czy to wystarczy, żeby zaistnieć w pamięci innych? Nie mnie to oceniać. Czas pokaże.

NASZTALENT : Kamil Grelak



Fot. arch. Kamila Grelaka

KAMIL GRELAK

*Rocznik 2002, tegoroczny maturzysta LO w Śre-
mie. Pasjonat dziennikarstwa i mediów Pomy-
ślowca licealnego radia eL. Laureat wielu
nagród. Tegoroczny stypendysta Marszałka Woj.
Wielkopolskiego.*

W dzieciństwie miałem kilka wymarzonych za-
wodów. Najbardziej chciałem być chyba wete-
rynarem. Później to się zmieniło. W czwartej
klasie wiedziałem już, że zostanę dziennikarzem,
a w piątej, że najbardziej fascynuje mnie radio.
Kupiłem pierwszy mikrofon, zacząłem nagrywać
krótkie teksty, ćwiczyć dykcję, a mój głos stawał
się coraz bardziej barwny. O tym, że chcę praco-
wać w radiu przekonałem się dopiero w gimna-
zjum, kiedy po raz pierwszy zasiadłem w studiu
akademickiego Radia Meteor UAM.

Zacząłem się od warsztatów organizowanych na
Wydziale Nauk Politycznych i Dziennikarstwa
UAM, na które pojechałem jako gimnazjalista.
Zajęcia w studiu prowadził wtedy redaktor na-
czelny studenckiego Radia Meteor. Po warszta-
tach otrzymałem propozycję, żeby spróbować
swoich sił w akademickiej rozgłośni. Wybrałem
pracę przy serwisach informacyjnych. Niestety,
moje przyjazdy do studia Meteora zakończyła
pandemia, która wymusiła przejście na pracę
zdalną.

Do dziś jestem wdzięczny za szczęśliwy zbieg
okoliczności, który sprawił, że zainteresowałem
się polszczyzną. Nieznajomość jej zawilości na
pewno utrudniłaby mi dziennikarski rozwój.
Swoją wiedzę rozwijałem podczas wojewódz-
kich konkursów języka polskiego. W liceum za-
interesowałem się ogólnopolską Olimpiadą
Wiedzy o Mediach. Dzięki temu sięgnąłem po
książki, z których korzystają studenci dzienni-
karstwa. Otworzyło mi to oczy na wiele istotnych
kwestii związanych ze światem mediów. Sty-
pendia, które otrzymywałem za swoje osiągnię-
cia, pozwoliły mi wyposażyć domowe studio.

W kwietniu 2020 r. dowiedziałem się, że powstająca właśnie redakcja szuka młodych osób, które chciałyby spróbować swoich sił w radiu Nowy Świat, uznałem, że wysłanie kilku nagrań mojego głosu na pewno nie zaszkodzi. Tym bardziej, że bardzo już brakowało mi radia i atmosfery panującej w studio. Parę dni później zadzwonił telefon... i tak to się zaczęło. W lipcu poprowadziłem próbną audycję na żywo. Słuchacze przyjęli nasze „Próbne loty” bardzo pozytywnie. Zostałem przyjęty na staż. Rozpocząłem od pomagania bardziej doświadczonym reporterom. Po tygodniu przygotowywałem już własne materiały. Tak, jak planowałem, w Warszawie zostałem do końca sierpnia.

Moi mistrzowie... Im dłużej o tym myślę, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że moimi Mistrzami są wszyscy, którzy kiedyś podzielili się ze mną swoim doświadczeniem. Miałem szczęście spotkać wiele takich osób. Ze względu na jedyne w swoim rodzaju poczucie humoru i niezwykłą antenową osobowość (chyba tworzę tutaj nowe pojęcia, ale trudno mi to nazwać) jedynym z moich największych autorytetów jest Wojciech Mann. Od lat podziwiam sposób, w jaki opowiada o muzyce.

A szkolne radio... Pomysł stworzenia szkolnego radia chodził mi po głowie już w podstawówce. Kiedy przyszedłem do gimnazjum (wówczas będącego częścią Zespołu Szkół Ogólnokształcących), stwierdziłem, że jeśli ma się to udać, to tylko tutaj. Swoim pomysłem podzieliłem się już jako pierwszoklasista, ale zanim powstało radio, minęły cztery lata. Pierwszy program nadaliśmy, gdy byłem w drugiej klasie liceum. Od samego początku byłem pozytywnie zaskoczony zaangażowaniem moich koleżanek i kolegów. Większość z nas poznała się dopiero w redakcji, ale szybko znaleźliśmy wspólny język.

Jeśli chodzi o czas wolny to jeszcze rok temu było go o wiele więcej. Teraz, ze względu na przygotowania do matury, jest mi trudniej go znaleźć. Mimo tego znajduję czas na odcinek serialu (mój absolutny numer jeden to *House of Cards*). Kiedyś mogłem sobie pozwolić na spędzanie wielu godzin w swoim studio nagraniowym. Grałem na gitarze, często także śpiewałem. Muszę do tego

wrócić, bo była to naprawdę świetna zabawa. Sięgam też po książki, najczęściej wybieram fantasy lub dystopie. Przyznaję, czytanie Orwella w obecnych okolicznościach nie jest zbyt podnoszące na duchu. Zafascynowało mnie jednak, jak wiele prawdy kryje się w opowieściach o przyszłości pisanych w XX wieku. Jeśli muzyka, to tylko z dobrym tekstem. Najbardziej lubię alternatywnego rocka z ostatnich dwóch dekad, ale ostatnio zaśłuchuję się także w utworach The Smiths czy The Doors. Ważni są dla mnie przyjaciele – mam ogromne szczęście, bo zawsze mogę na nich liczyć. Po maturze zamierzam trochę odpocząć. W lipcu planuję wrócić do Warszawy i kontynuować swoją radiową przygodę. Nie jestem jeszcze pewien, jaki kierunek studiów wybiorę. Czas pokaże, co będzie dalej.

Jestem... początkującym profesjonalistą, który musi się jeszcze wiele nauczyć.

Chciałbym... móc w życiu robić to, co lubię najbardziej.

Myślę o... tym, jak radio będzie wyglądało za 20 lat.

Inspiruje mnie... literatura XX wieku i alternatywny rock.

Potrafię... mówić godzinami, znaleźć (prawie) każdy źle postawiony przecinek i ciąć dźwięki na kawałki, żeby później posklejać z nich historie.

Lubię... gorzką kawę, trzaski winyli i rozmowy (w obecności mikrofonu lub bez).

Muszę... wrócić do częstego grania na gitarze łączonego ze śpiewaniem na całe gardło. Nic tak dobrze nie robi na przeponę!

Żałuję... chodzenia na kompromisy, niewykorzystanych okazji i zastanawiania się, czy dam radę.

Boję się... wizji świata bez wolnych mediów, chryпки nadchodzącej tuż przed wejściem na antenę i pęknięcia gitarowych strun.

Kamila Grelaka wysłuchała Ewa NOWAK

Zuzanna SIERLEJA

Radio eL

Nastolatki w okresie szkolnym mają wiele planów na przyszłość. Jedni starają się spełnić ambicje rodziców – decydują się na studia prawnicze lub medyczne. Inni wybierają własną, często nieprzetartą ścieżkę. Co dzieje się wtedy, gdy zamiast skalpela lub togi, „dzieci” decydują się na parę słuchawek oraz mikrofon?

Chcemy tu podzielić się naszą historią – historią powstania i pracy w naszym własnym radiu. Zdradzić tajemnice studia – miejsca, pełnego tajemniczych przycisków, gdzie na biurku stoją kubki chłodnej kawy.

Wszystko zaczęło się od pomysłu. Koncepcja była piękna i prosta – integracja uczniów i nauczycieli przy ognisku informacji oraz iskrach humoru. Trochę to trwało ale po czterech latach marzenie Kamila – obecnego maturzysty, który doświadczenie w pracy na antenie zdobywał w Radiu Meteor – przerodziło się w rzeczywistość. Nazwę Radio eL wymyśliła Olga – teraz już absolwentka, a wtedy prezenterka szkolnej telewizji. Te dwa słowa łączą w sobie wszystko, co najważniejsze: Liceum i Ludzi, którzy je tworzą. Jak można się domyślić, praca przy tworzeniu audycji nie jest tak prosta, jak się wydaje. Niektórzy myśleli, że lista zadań ograniczy się do przyjscia godzinę przed czasem rozpoczęcia nadawania i przeczytaniu kilku zdań. Prędko przekonali się, że ich wyobrażenie jest dalekie od prawdy. Pierwszym członkom zespołu, wiele ułatwił fakt, że Kamil miał już pewną wiedzę i doświadczenie w tej dziedzinie. Utworzono więc krótką listę zasad, piszemy teksty do serwisu informacyjnego, wspólnie się mobilizujemy, wspólnie rozwiązujemy problemy. A te pojawiały się głównie przy montażu, dlatego montażyści spotykali się po godzinach, uczyli się jak unikać komplikacji na antenie. Reszta zespołu szukała

odpowiednich tematów, tworzyła relacje z lokalnych wydarzeń. Przeprowadzano również wywiady z gośćmi. Poszukiwaliśmy wierszy, znajdowaliśmy żarty do „Suchego Kącika”. A w piątki o 16 włączaliśmy komputery, podłączaliśmy mikrofony i słuchawki do konsoli i zaczynaliśmy nadawanie audycji.

Fundament każdego projektu stanowią ludzie. Cały zespół łączyło to, że byli częścią szkolnej społeczności: większość kojarzyła się z okresu gimnazjum lub mijania na korytarzu. Pytanie: „Hej, jutro nagrywamy?” prędko przemieniło się w: „Hej, jakie lubicie muffinki?”. Nie czujemy już stresu, gdy przychodzi dzień audycji: „Kamil zawsze przychodzi jako pierwszy, choć czasami to ja na niego czekam po lekcjach”. Później nadchodzą kolejni: Olek niesie obiad, Wojtek szykuje herbatę. Ola wita wszystkich z uśmiechem. Każdy ma ulubiony moment: jedni uwielbiają początki, kiedy zbiera się coraz większa grupa, inni odliczają czas do reagowania na komentarze słuchaczy. Najczęściej jednak dobrze wspominają chwile po wyłączeniu świateł: wszystkie emocje opadają, przychodzi czas na pożegnanie. Nowy rok szkolny to nowi chętni do pracy w licealnym radiu. „Komisja Rekrutacyjna” zawsze jest zaskoczona frekwencją. Początkowo obawialiśmy się, że w momencie ukończenia szkoły maturzyści zapomną o radiu. Na szczęście okazało się, że wielu pierwszoklasistów wykazało chęć zaangażowania w licealne przedsięwzięcie. „Nowi” chętnie dzielą się powodami, które skłoniły ich do podjęcia decyzji o dołączeniu do Radia eL. Lista zaczyna się od chęci zyskania znajomych, aktywnego włączenia się w działania na rzecz szkoły. Ktoś powiedział: „Chciałam, aby szkoła nie była przeze mnie kojarzona tylko jako miejsce, w którym przesiadujemy połowę swego



Fot. arch. radia eL

życia, zatracając się w książkach”. Zresztą, jak zaznaczają: „kto nie pragnie znaleźć się w towarzystwie osób pełnych pasji?”. Początkowe obawy, liczne wątpliwości w głowie, myśli: „Czy jestem wystarczająco dobry/a?” dawno odeszły w zapomnienie. Z łatwością odnajdują się wśród innych członków. Cały czas obowiązuje zasada wzajemnego wsparcia, dlatego młodszy często proszą starszych o rady, a starsi z radością reagują na ich kolejne pomysły.

W naszym radiu opowiadamy o ważnych wydarzeniach, pasjach uczniów, często prezentujemy pisane przez nich wiersze. Zdarzało się, że poruszaliśmy tematykę lokalną. Podczas pierwszej audycji tłumaczyliśmy, jak wygląda składanie wniosków do Śremskiego Budżetu Obywatelskiego. Przygotowaliśmy także cykl rozmów z nauczycielami, dzięki którym można poznać naszych pedagogów od zupełnie innej strony – opowiadali między innymi o swoich pasjach, podróżach czy ulubionej muzyce. Wisienką na torcie jest radiowy „Suchy Kącik”, czyli zbiór żartów tak beznadziejnych, że aż zabawnych. Staramy się trafić głównie do licealistów, ale nie tylko. Naszych programów słuchają wszyscy, którym z jakichś względów LO jest bliskie – na

przykład absolwenci szkoły. Przed pandemią nadawaliśmy średnio co 3 tygodnie. W roku szkolnym 2020/2021 przed grupą stało poważne wyzwanie: organizacja działania radia w czasie pandemii. Chociaż audycje wciąż można słuchać na stronie facebookowej LO, zaszło wiele zmian. Niestety, obecna sytuacja nie pozwala na spotkania w studiu. Programy powstają w domach, są montowane i publikowane jako filmy. Przede wszystkim zmieniliśmy dzień emisji z piątku na środę. Z powodu braku możliwości bezpośredniego kontaktu, rozmowy ograniczają się do połączeń przez komunikatory. W dużej liczbie ograniczeń można jednak znaleźć i plusy: Radio eL zaczęło funkcjonować również na Instagramie. Obserwujący są zapraszani do brania udziału w ankietach oraz quizach, a także dostają informacje o nadchodzących programach, teraz również w formie podcastów na Spotify.

Praca w radiu ma wiele zalet. Uczy walki ze stresem. Dodaje pewności siebie. Daje możliwość poznania inspirujących osób. Przede wszystkim jest niekończącą się przygodą. Wspólny cel – możliwość realizacji artystycznej połączona z tworzeniem profesjonalnego (prawie) medium – czynią śremskie liceum niepowtarzalnym.

Joanna CHMIELEWSKA

Białe noce listonosza Aleksieja Triapicyna

Kino niewidzialne, czyli Notatki o filmach...

mało znanych, zapomnianych, trudno dostępnych, egzotycznych, nietuzinkowych, a przede wszystkim o filmach wartych obejrzenia

„W tych kątach, miła Nastusiu, żyje się jakby innym życiem, zupełnie niepodobnym do tego, które wre wokół nas, życiem, jakie moglibyśmy wieść gdzieś za siódmą górą i za siódmą rzeką, ale nie tutaj, nie w tych naszych tak bardzo poważnych czasach. To właśnie inne życie jest mieszaniną czegoś fantastycznego, płomiennie idealnego, lecz jednocześnie (niestety, Nastusiu) wyblakłego, prozaicznego i zwyczajnego, żeby nie powiedzieć: do niemożliwości banalnego”.

Fiodor Dostojewski *Białe noce*

Fabula *Białych nocy listonosza Aleksieja Triapicyna* w reżyserii Andrieja Konczałowskiego rozgrywa się gdzieś na dalekiej północy Rosji, na południe od Archangielska, w odizolowanej wiosce położonej na odludnym obszarze, na brzegu jeziora Kenozero. Myślę, że postaci Andrieja Konczałowskiego miłośnikom kina nie muszą przedstawiać... Dla niewtajamniczonych to syn poety Siergieja Michalkowa – autora słów hymnu rosyjskiego i starszy brat reżysera Nikity Michalkowa. Reżyser, scenarzysta filmowy i teatralny należy do grona najwybitniejszych przedstawicieli kinematografii rosyjskiej. Jako scenarzysta współpracował m.in. przy filmach mistrza Andrieja Tarkowskiego

Białe noce listonosza Aleksieja Triapicyna to opowieść o charyzmatycznym listonoszu Aleksieju, potocznie zwanym Lyokha, który jest jedynym łącznikiem mieszkańców odizolowanej wioski ze światem zewnętrznym. Lyokha, przeglądając na stole przykrytym jaskrawą ceratą stare zdjęcia, opowiada na samym początku filmu kilka fragmentów swojej historii. Mówi, że był kiedyś żonaty, ale to nie wyszło. „Ot, tu walczyć z wódką” – komentuje jedno zdjęcie. Później do-

wiadujemy się, że nasz listonosz dopiero od dwóch lat nie pije. Zaraz potem wybieramy się z nim na codzienną rundę, najpierw na pocztę główną, a potem łodzią przez jezioro do najbardziej odległych zakątków wioski.

Lyokha grany przez naturszczyka (zresztą jak cała reszta obsady filmu) doskonale sprawdza się w roli listonosza. Obserwujemy go w interakcjach z osobami spotykanymi na swojej trasie. To nie tylko zwykły listonosz, to zwiastun dobrych i złych wiadomości, łącznik ze światem zewnętrznym, a niekiedy farmaceuta czy nawet opiekun dziecka. Przez cały film widz ma wrażenie, że ogląda pewnego rodzaju dokument, podgląda prawdziwe życie prawdziwych ludzi. Ale wioska listonosza nie jest całkowicie odcięta od współczesnego świata; Lyokha oraz inni mieszkańcy gotują, myją się i parzą herbatę z rosyjskimi reality show w tle (nigdy nie widzimy programu, słyszymy tylko jego bezsensowną ścieżkę dźwiękową).

Kiedy silnik z jego łodzi zostaje skradziony, Lyokha zostaje zmuszony do wyjazdu do miasta, miejsca frustracji i oszołomienia.

Białe noce listonosza Aleksieja Triapicyna to delikatna, melancholijna, czasem zabawna filmowa pastorałka, meandrujący lament za odchodzącym wiejskim stylem życia. To przegląd interakcji międzyludzkich. To jezioro, drzewo, las, kłos, szelest liści, szum wody, ryby, deszcz, kot... Głównym bohaterem według mnie jest natura, w filmie bowiem kluczową rolę odgrywają szeroko otwarte, wodne krajobrazy znad jeziora Kenozero, które położone jest w samym środku rezerwatu przyrody. Lyokha zatrzymuje się od



czasu do czasu, aby popatrzeć na zmarszczki na jeziorze lub posłuchać wiatru w drzewach. I to są dla mnie najpiękniejsze sekwencje w filmie, podczas których dźwięki natury przenikają się idealnie z muzyką chórzną, ambientową czy klasyczną. Dodajmy do tego pojawiające się motywy z rosyjskiej kultury ludowej – szczególnie w cudownej scenie, w której Lyokha i Timur dryfują w dół potoku, gdy listonosz opowiada coraz straszniejsze opowieści o duchu wody zwanym Kikimora. Jest też tajemniczy szary kot, który pojawia się tylko w nocy...

Jest w tym filmie niezwykle bogactwo tematów, wątków, myśli, odczuć, przeżyć i doświadczeń. Kontemplacja natury. Samotność. Odrzucone uczucie. Wolność. Odpowiedzialność. Relacja między światem realnym i fantastycznym...

Konczałowski nakręcił film przepełniony cichym liryzmem, emanujący niezaprzeczalnym urokiem. Film, który przypomina nam, że życie jest piękne.

Po prostu czysta poezja!

Białe noce listonosza Aleksieja Triapicyna

rok produkcji: 2014

gatunek: dramat

reżyseria: Andriej Konczałowski

zdjęcia: Aleksander Simonov

obsada: Aleksiej Triapicyn, Irina Jermołowa,

Timur Bondarenko

czas trwania: 90 min.

Jolanta ANDRZEJEWSKA

Spleen i uroki prowincji

Z górnej półki

W tym ponurym mroku, wywołanym pandemią i zimą, opowiadania Kornela Filipowicza zebrane pod tytułem *Romans prowincjonalny i inne historie* poruszyły we mnie strunę nostalgii, nieoczekiwanie przywołując radosne obrazy.

...Rynek naszego miasta zalany czerwcowym słońcem, wokół armatki krzątają się mężczyźni w kapeluszach z piórkami, na letnim wietrze powiewają żółte i białe wstążki, w oknach szykuje się kwietne dekoracje na Boże Ciało. Słychać przytłumiony dźwięk kościelnego dzwonu i narastającą od strony ulicy Farnej muzykę, która zaraz zmaterializuje się w postaci wystrojonej orkiestry Bractwa Kurkowego. Panowie w tradycyjnych mundurach ze wspartymi na ich ramieniu partnerkami w długich sukniach i kapeluszach z zupełnie innej epoki. Głośna salwa armatnia zakłóca na chwilę sielski spokój, z dachu ratusza ulatują w panice gołębie. Zatykamy uszy, by po chwili, wychylając się z okna, śledzić odmaszerowujące w stronę parku wesołe trąbki i puzony. Po chwili duży, słoneczny plac rynku jest już pusty, jeśli nie liczyć kuśtykającego inwalidy zmierzającego do ławki w cieniu, pod wielkim drzewem. Z ratusza wychodzi burmistrz, jak zwykle, w dobrze skrojonym garniturze. Idzie nieśpiesznie, zatrzymuje się na chwilę pod drzewem, by zamienić kilka słów z mężczyzną w cieniu, potem podąża dalej swoją drogą, w kierunku księgarni. U wylotu zaułka pojawia się drobna kobieta w czerni i ciemnych okularach, w rękę niesie duży kosz na zakupy. Pod Figurą przebiega kot, zmierzający do pilnych, tylko jemu znanych spraw... Poza tym nikogo... Cisza i spokój prowincjonalnego miasteczka.

Podobny widok z okna ma Elżbieta, bohaterka tytułowego opowiadania Kornela Filipowicza. Jest początek lat pięćdziesiątych, kobiety ze sznurkowymi siatkami na zakupy w rękach, stoją przed rzeźnikiem w kolejce „za mięsem”, przekazując sobie najnowsze ploteczki. Nieopodal, na rogu, ksiądz z doktorem prowadzą ożywioną dyskusję, idące do szkoły dziewczynki, w granatowych fartuchach szkolnych z białymi kołnierzykami dygają, a uboga kobieta usiłuje ucałować księdza proboszcza w rękę... Jakaś dziewczyna wychodzi z mleczarni, niosąc ostrożnie bańkę z mlekiem... Nagle rozlegają się dźwięki kościelnej sygnaturki, bijącej na ósmą. Turleje, miejscowy wariat biegnie, kulejąc, w stronę przystanku, a na rynek wjeżdża niebieski autobus PKS. Wsiada z niego tylko jeden pasażer, przystojny, elegancki poeta z Warszawy... Łatwo możemy przewidzieć ciąg dalszy. Elżbieta, panna z dobrego domu, nauczycielka fortepianu, znudzona przewidywalnością swoich dni, porzuci wpojone jej przez matkę przedwojenne zasady oraz wieczorki w towarzystwie księdza i nudnego, zabiegającego o jej rękę inżyniera Soniewicza, by choć przez chwilę zaszaleć u boku przystojnego literata. Spaceruje we dwoje, tańce na ludowej zabawie, ukradkowe pocałunki, w końcu upojna noc w hoteliku przy rynku, na którą, niestety, swoim zwyczajem, autor spuszcza zasłonę milczenia. Wprawdzie, gdy poeta prosi Elżbietę namiętnym szeptem, by dała mu znak, czy przyjdzie, w ten sposób, że zagra dla niego utwór Szopena (dźwięki po rynkach małych miasteczek rozchodzą się donośnie), zdumiona, współczesna czytelniczka, mimowolnie parska śmiechem. Ale łatwo można wybaczyć sentymentalizm tej sceny, gdyż przeważnie proza Filipowicza napisana jest oszczędnym językiem chłodnego obserwatora.

Po kilku tygodniach od powyższych zdarzeń, naszej nieobliczalnej bohaterce na pewno nie jest jednak do śmiechu. Jakkolwiek pisarz stara się ująć delikatnie to, co się jej przytrafia, prawda jest po prostu taka, że Elżbiecie spóźnia się okres, co bywa wiadomym znakiem kłopotów. Dziewczyna jest w ciąży z przystojnym poetą, który już dawno odjechał pekaesem w siną dal. Co pocznie? Czy skorzysta z pomocy pani Orłowicz, która ratuje dziewczyny w jej sytuacji za pomocą drutów do swetrów? Czy połknie chininę, jak radzi jej przyjaciółka Irena?

Nawiasem mówiąc, fakt, że dylematy bohaterki z 1949 roku stają się aktualnością siedemdziesiąt lat później, jest jakimś szalonym chichotem historii.

Bohaterem innego opowiadania, *Jeniec i dziewczyna*, jest z kolei młody mężczyzna, żołnierz polskiej armii. Wojenne losy rzuciły go do obozu jenieckiego w neutralnej Szwajcarii, niedaleko granicy z Francją. Jest spokojnym, nieśmiałym człowiekiem, i jedyną rzeczą, o której marzy, to powrót do kraju. Nieważne, przez Anglię czy Egipt, byle prosto do sielskiej polskiej wsi, skąd pochodzi. Nie jest być może zawziętym polskim patriotą, drażnią go dyskusje, wybuchające co i rusz w koszarach, pomiędzy narodowcami i socjalistami, jednak kiedy Inga, Szwajcarka z porządnego profesorskiego domu drwi sobie, że Polska to „trzydzieści milionów biednych szlachciców, reszta to książęta, hrabiowie i trochę Żydów”, Maciej Tuchowicz jest dotknięty. Nie rozumie o co jej chodzi.

Inga robi wszystko, by zatrzymać kochanka, uprowadzi go prawie w sobie tylko w znane górskie ostępy. Jednak to na nic... Jest między nimi dokładnie to, co kilkanaście lat później wyśpiewał tak doskonale Serge Gainsbourg w duecie z Jane Birkin – „*Je t'aime – moi non plus*”. Mimo pozorów namiętności, kompletny mur niezrozumienia. W tym długim opowiadaniu autor zaprezentował wyłącznie męski punkt widzenia, kobieta krąży niejako wokół bohatera po orbicie całkowitej obojętności. Wstrząsające. Wstrząsające i prawdziwe.

Nowele i mikropowieści Kornela Filipowicza napisane są językiem sprzed lat. Nie pozbawia to ich świeżości, zawarte w książce utwory to naj-

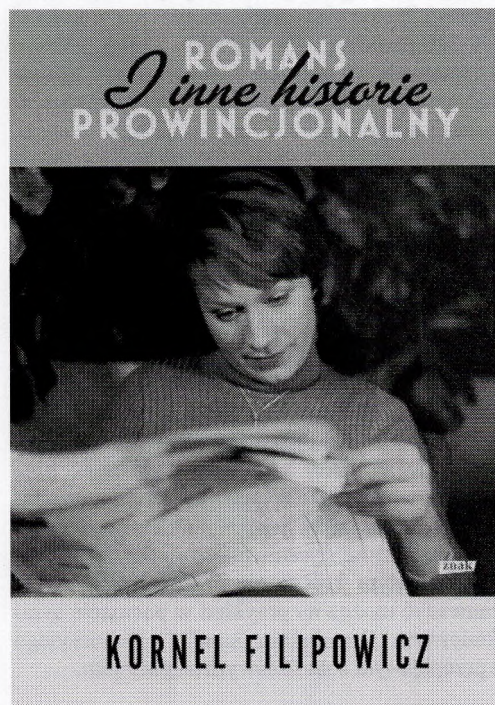
częściej historie miłosne, a miłość, jak wiadomo, odwiecznie jest taka sama. Zresztą, urok prozy Filipowicza polega właśnie na tym, że jest tak cudownie niedzisiejsza. Lekka, elegancka, jak pośłótkie stare koronki. Spojrzeniu autora nie brak przenikliwości, a opisyane historie pełne są drobnych obserwacji, które, po latach, chętnie odnajdujemy. Czyta się to bardzo przyjemnie i z zainteresowaniem.

Przez ostatnie kilkadziesiąt lat pisarz Kornel Filipowicz znany był tylko niewielu, a jego nazwisko kojarzono głównie za sprawą wielkich kobiet, których towarzyszem życia był – Marii Jaremy i Wisławy Szymborskiej. Ja sama dowiedziałam się o tym, że pisał, czytając biografię Jaremiarki i zapragnęłam sprawdzić, co miał do powiedzenia wybranek tych dwóch wielkich artystek. Nie rozczarowałam się. To piękna proza.

Kornel Filipowicz

Romans prowincjonalny i inne historie

Wyd. Znak, Kraków 2018



Ewa BIAŁY

Czy muzyka jest asemantyczna, czy semantyczna?

Wszystko gra

Semantyka odnosi się oczywiście do językoznawstwa i najogólniej mówiąc jest analizą znaczeń wyrazów i ich związków z przedmiotami, do których się te wyrazy odnoszą. My muzycy, zapożyczyliśmy sobie to słowo i wiemy, że odwieczny spór. Jedni z nas są zwolennikami muzyki absolutnej i piękna absolutnego – drudzy potrzebują właśnie tych znaczeń i odniesień albo porównań do innych sztuk.

W historii muzyki mamy wiele przykładów, którymi można argumentować semantyczność i asemantyczność tej sztuki. Zaczniemy od tej semantycznej, ilustracyjnej, a od romantyzmu określonej też programową. To muzyka, której jednym z głównych założeń jest zasugerowanie słuchaczom treści pozamuzycznych, wynikających z inspiracji kompozytora innymi sztukami (teatrem, literaturą, malarstwem), zjawiskami przyrody czy osobistym wewnętrznym światem. Muzyka ta posiada bądź tytuły, bądź opisy a nawet swoiste streszczenia, czyli tak zwany program. Przykłady? Pierwszy pochodzi z 586 r. p.n.e., „Nomos pytyjski” przedstawiający walkę Apollina ze smokiem, inny, „Kukułka” L.C. Daquina, w której słysząc śpiew tego ptaka, kolejny, „Cztery Pory Roku” Vivaldiego z przepięknym muzycznym opisem przyrody, w późniejszej muzyce na przykład Ryszard Strauss i jego słynne poematy symfoniczne „Don Juan”, czy „Ucieszone figle Dyla Sowizdrzała”. W pewnym stopniu semantyczny jest też impresjonizm, ponieważ wywodzi się z malarstwa, operuje plamami dźwiękowymi i niezwykle kolorystycznym instrumentalnym, co zauważyć można na przykład w poemacie symfonicznym „Popołudnie fauna” C. Debussy’ego z przepięknym solo fletowym na początku.

Muzyka absolutna to ta, która tytułów nie ma. Tylko nazwy form, takie jak symfonia, sonata, kwartet, divertimento i wiele innych. Jest tutaj cała twórczość Mozarta, Beethovena czy Brahmsa. W drugiej połowie XX wieku idea muzyki programowej właściwie zanikła lub ustąpiła idei muzyki absolutnej oraz awangardowej, o której pisałam w poprzednim artykule. Ale pojawiła się muzyka filmowa. I znów wracamy do ukrytych znaczeń. Pamiętam czasy mojej fascynacji muzyką programową. Nie lubiłam wtedy Mozarta. Nie rozumiałam. Nie lubiłam wirtuozerii, bo wydawała mi się zwyczajnie pusta. Do opery chodziłam często, ponieważ mieszkalam tuż obok, ale do czasu, kiedy nad sceną pojawił się ekran z wyświetlanym tekstem arii operowych. Nie mogłam zrozumieć jak tak piękna muzyka może mieć taki „nieskomplikowany” tekst. Nawet nie pamiętam co sobie wyobrażałam wtedy, rozumienie tekstu zwyczajnie mi przeszkadzało w odbiorze piękna. Ale samo piękno też nie wystarczało. Mój świat wewnętrzny potrzebował emocji, burzliwych muzycznych wagnerowskich fraz. Dzisiaj uwielbiam Mozarta, jego zmysł kompozycyjny, lekkość i te wysokie częstotliwości. Akceptuję asemantyczność i bardzo lubię wirtuozериę, ale to nie znaczy, że nie poszukuję innych znaczeń. Poszukuję i zawsze je znajduję. Dziś piękno dla mnie jest bardziej naturalne i swobodne. A opera? Pozostała moją fascynacją bez względu na tekst. Teraz wielbię nawet anonimowe krotkowiele takie jak „Heca, czyli polowanie na zająca”.

Żeby obiektywnie odnieść się do tego sporu przyjrzyjmy się początkom muzyki. Prawdopodobnie jest ona ewolucją ludzkiej ekspresji, sposobu okazywania emocji dźwiękiem. Wiemy, że

od zarania dziejów towarzyszyła tańcom i ceremoniom religijnym, ale w starożytności słuchano jej również dla przyjemności. Natomiast zgodnie z przekazami biblijnymi twórcą muzyki był Jubal. W Księdze Rodzaju określany jest jako przodek wszystkich tych, którzy grają na flecie lub lirze. Ciekawie przy tym brzmi „wikipediowska” definicja muzyki mówiąca, że „Muzyka to sztuka organizacji struktur dźwiękowych oraz ciszy. Jedną z dziedzin sztuk pięknych, która wpływa na psychikę człowieka przez dźwięki [...]. Jednym z celów muzyki jest samoekspresja oraz przekaz subiektywnych odczuć kompozytora lub wykonawcy, który ma wpływ na odczucia, reakcje i świadomość słuchacza przetwarzającego te doznania w sposób zupełnie indywidualny”. Czyli semantyka tutaj nam się nie pojawia.

To co my muzycy klasyfikujemy jako asemantryczność czy semantyczność jest raczej naszym osobistym spojrzeniem i doświadczeniem, które oczywiście się zmienia w miarę poznawania muzyki, jej wykonywania, komponowania, i spędzania z nią tysięcy godzin. Również w miarę dojrzewania naszych artystycznych osobowości i dojrzewania nas samych. Tak jak w wielu innych zawodach. Jesteśmy innymi lekarzami, nauczycielami, restauratorami, policjantami, pisarzami zaraz po studiach i innymi po 20, 30 czy 40 latach pracy. Zdarza się muzykom „już nie chcieć grać” ale to tylko efekt przepracowania albo przemęczenia. Muzyka dla muzyka jest jak narkotyk. Jest źródłem życia. I kiedy przestajemy grać, przestajemy istnieć. I nie ma znaczenia jej semantyczność czy asemantryczność. A czym jest dla słuchaczy? Zrobiłam taki eksperyment i zadałam to pytanie wujkowi Google. Oto co powiedział: „Muzyka jest dla mnie czymś bez czego nie można

żyć”. „Muzyka jest dawką słońca”. „Dla mnie muzyka jest motorem napędzającym mnie do istnienia. Jest podstawową w mojej piramidzie potrzeb. Jest najlepszym i najskuteczniejszym lekarstwem”. „Dla mnie muzyka jest jak marzenie, które przenosi mnie do innego świata”. „Dzięki muzyce mogę choć na chwilę oderwać się od rzeczywistości”. „Czym? Dla mnie sposobem na życie, nie wyobrażam sobie życia bez muzyki”. „Muzyka jest dla mnie synonimem słowa lek”. „Dla mnie muzyka to wszystko co mam; to wolność, to miłość, to radość i smutek”. „Bez muzyki byłabym nikim”. „Czym jest dla mnie muzyka? Nie udało mi się jak dotąd zdefiniować tego uczucia, bo muzyka dla mnie jest najpierw, a może przede wszystkim, uczuciem”.

Może semantyczność jest potrzebna tylko do zrozumienia sztuki w ogóle, jeśli nie dostrzega się samego piękna. Albo jeśli się dostrzega i nie rozumie, dlaczego inni nie dostrzegają. Sztuka wymaga kontaktu z człowiekiem, zrozumienia, porównywania i kształcenia. Czy warto? Jeśli macie jeszcze Państwo wątpliwości wróćcie do cytatów wujka Google. A semantyczność? Przecież to tylko zapożyczony termin z językoznawstwa.

Urszula ŁUKOMSKA

Pory roku w malarstwie. Część 2 – wiosna

„...wiosna, wiosna, wiosna ach to ty” śpiewał bard mojego pokolenia Marek Grechuta, personifikując tę porę roku. Większość malarzy polskich przełomu XIX i XX wieku przedstawiała wiosnę pod postacią młodej dziewczyny, wiotkiej, naturalnej w gestach i pozie, sugerującą zmiany na lepsze, odganiającą złą zimę. Należy pamiętać, że symboliczne traktowanie motywów było w tym czasie powszechne, a kierunek w sztuce i literaturze to właśnie symbolizm. Wręcz podręcznikowo pokazał to Witold Pruszkowski (1846–1896) w obrazie *Tchnienie wiosny* z 1887 r., gdzie unosząca się tuż nad ziemią młoda, naga dziewczyna w otoczeniu chmary motyli, na tle kwitnącego drzewa, jakby odpycha widniejącą po przekątnej bladą zimę. Kolejnym interesującym obrazem, w którym wiosna pokazana jest w postaci ślicznej dziewczyny jest pastel Teodora Axentowicza (1859–1938) *Wiosna*, narysowany ok 1900 r. z mistrzowską wirtuozerią. Młoda, tajemnicza femme fatale pokazana w półakcie o bladej cerze i ognistorudych włosach przegląda się w lusterku symbolu Wenus, a jedynym atrybutem nawiązującym do tytułu jest trzymany w dłoni żółty tulipan. Pejzaż jest umowny, stanowi barwne tło. Modelką była kilkakrotnie portretowana krakowska piękność Ata Zakrzewska.

Temat wiosny podejmował też największy nasz symbolista Jacek Malczewski (1854–1929). W zależności od życiowych meandrow jego dzieła mają różnoraki charakter, a często nie poddają się jednordonnej interpretacji. Ten fantastyczny malarz, rysownik, poeta, profesor i rektor Akademii Krakowskiej, oscylował między problemami ojczyzny pod zaborami, życiem i śmiercią artysty, romantycznymi wizjami a metafizyką, romantyzmem a młodopolską wersją

symbolizmu. Mi najbardziej podobają się dwa obrazy z wiosną-dziewczyną i wiosną-kobietą. Pierwszy zobaczyłam dość niedawno, gdyż przez kilkadziesiąt lat nic nie było o nim wiadomo, nie był publikowany. Niedawno zakupiony na aukcji przez prywatnego kolekcjonera, znajduje się w depozycie Muzeum Narodowego w Kielcach i przez kilka lat będzie można go tam oglądać. Chronologicznie najpierw powstała *Wiosna* z 1909 r. (własność prywatna), przedstawiająca „kobietę życia” artysty Marię Balową na tle rozlewiska Wisły, widzianej ze Salvatora, trzymającej w dłoni skowronka, symbol wiosennego odrodzenia natury i rozkwitającego w tym czasie uczucia do modelki. Maria zwana Kinia jest tu pełna erotyzmu, pokazuje odsłonięte ramiona, uśmiecha się trochę zalotnie ale i niepewnie. Na palcu jednej ręki ma dwie obrączki, które mogą symbolizować przyszłe rozstanie. Druga, wiosna-dziewczyna powstała 5 lat później, ma lekką białą szatę i ucieleśnia urodę odradzającej się natury. W tle widać kwitnące łąki i pola, ale na niebie w pewnym miejscu gromadzą się ciemne chmury. Może to zapowiedź dramatu zbliżającej się pierwszej wojny światowej, interpretacja może być różnorodna. Znanych jest jeszcze kilka obrazów Malczewskiego o tej tematyce, ale z konieczności musiałam dokonać wyboru.

Zadziwiający jest fakt, że wielu naszych znakomitych pejzażystów rzadko sięgało po wiosenne tematy, preferując kolejne pory roku może z powodu agresywniejszych kolorów latem czy jesienią. W tej materii zawsze można liczyć na Józefa Chełmońskiego (1849–1914). Po latach sukcesów i klęsk osiada na Mazowszu, kupując niewielki majątek Kukłówka, wraca do korzeni, malując cudowne pejzaże i sceny z obserwacji



Leon Wyczółkowski *Wiosna w Gościeradzu*, fragment obrazu. Teodor Axentowicz *Wiosna*, fragment obrazu

natury. Powstają wówczas *Kaczeńce* (1908), obraz ukazujący podmokłe łąki pełne różnokolorowych wiotkich jeszcze roślin z przewagą pasa żółci tytułowych kaczeńców, z rozmywającym się horyzontem. Skrótową, prostą kompozycję zatrzymują dwie sylwetki bocianów na niebie. Dla mnie rewelacja! Oczywiście wielu innych malarzy podejmowało temat, ale są to twórcy mniej znani i rzadko można zobaczyć ich prace w prestiżowych muzeach. Do moich ulubionych należy kompozycja w technikach mieszanych Leona Wyczółkowskiego (1852-1936) powstała w jego dworku *Wiosna w Gościeradzu* z 1933 r. (obecnie w muzeum w Bydgoszczy).

To fragment wnętrza z otwartym oknem, przez które widać kwitnące drzewo, ponieważ lekka firanka pod wpływem podmuchu wiatru odsłoniła widok. Nie ma postaci, ale pusty fotel przy oknie sugeruje miejsce odpoczynku i medytacji domownika, który przed chwilą opuścił to miejsce... Na koniec o nietypowym wiosennym motywie,

niedużym płótnie, które zawsze wprowadza mnie w dobry nastrój. *Wiosna* Vlastimila Hofmana, ucznia Malczewskiego z 1918 r. Ten olejny obraz 61x61 cm (Muzeum Narodowe w Krakowie) przedstawia małego, dziecięcego fauna z różkami i kopytkami, siedzącego na gałęzi drzewa obok budki lęgowej z dwoma ptaszkami i jednym trzymanym w ręczce. Optimistyczny nastrój obrazu działa kojąco, wiosna już nadchodzi.

Marta WOJTYSIAK

Mój Rzym. Część 2

To będzie wiosenny spacer. Możecie sobie wyobrazić lekkość, słońce, które rozgrzewa wyśmienione po zimie ciało, buchającą zieleń, kwiaty, ptaki i ogromną przyjemność picia kawy w ogródkach. Przyswieceć nam będzie myśl o pięknie istnienia, o radości życia, o umiłowaniu każdej danej nam chwili. Potwierdzi to też sam Michał Anioł myślą i popierającym ją pewnym projektem. Warto przypomnieć, że Rzym leży na siedmiu wzgórzach, pięknie przyrównanych przez Jarosława Mikołajewskiego do leżącego na boku ciała ukochanej osoby. Ach!

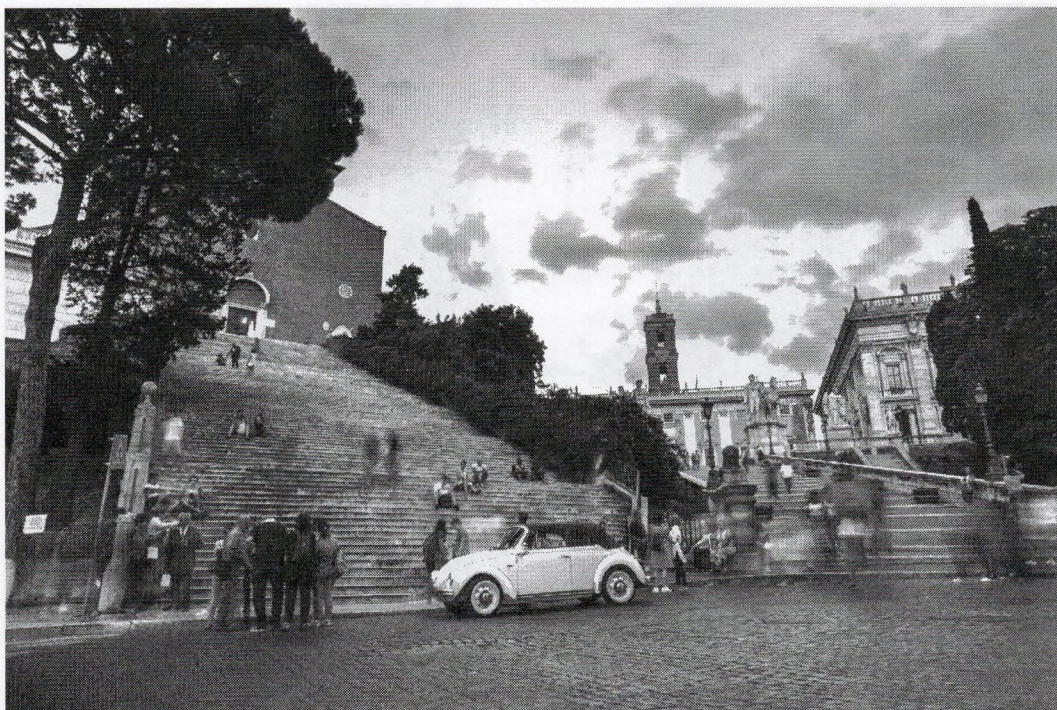
Wyruszę ze wzgórza Eskwilin, gdzie znajduje się mój mały, przytulny pokój w pensjonacie u kochanej Edyty. To tuż przy największej stacji kolejowej, autobusowej, w miejscu gdzie krzyżują się wszystkie linie metra, przy żywej i głośniejszej Stazione Termini. Jest poranek, przy stacji jak zawsze panuje zgiełk, ludzie mijają się ciągnąc za sobą swoje zapakowane w walizki historie. Jedni śmieją się, inni dumają, biegna na pociąg. Piękna pani czeka na taksówkę. Ktoś pali papierosa. Słońce rozpościera promieniste ramiona. Czuję, że to zapowiedź dnia pełnego możliwości. Pójdę dziś przez Piazza Della Repubblica, by zawiesić oko na fontannie Najad z pięknymi posągami nimf jezior, rzek, wód podziemnych i oceanów. Zajrzę do Bazyliki Santa Maria degli Angeli, którą projektował leciwy już Michał Anioł, łącząc ją z częścią Term Dioklecjana. Drzwi do Bazyliki zaprojektował nasz rodak – Igor Mitoraj. Lewe skrzydło symbolizuje zmartwychwstanie, prawe zaś zwiastowanie. Twarz i dłoń to jakby podpis artysty.

Via Nazionale, zwaną też tętnicą Rzymu, zejść kawałek, by w połowie drogi skręcić w lewo do magicznej dzielnicy Monti. Jeśli jest weekend wchodzić do Mercato di Monti. Jest to miejsce

skupiające wszelkich mistrzów rękodzieła i nie tylko. Znajdziemy tu odzież, torby, biżuterię, zegary, perfumy i inne cuda. Lubię zgubić się tutaj, popatrzeć na te dzieła i ich równie pięknych i kolorowych twórców. W małym barze kupuję kawałek chrupiącej pizzy. Jem go w drodze. Słońce coraz szerzej rozciąga się na murach, przegląda w wiosennej zieleni, promykami rozchyła paki kwiatów. Zaglądam na wystawy sklepów, wchodzić do second handów, które są tu niczym małe galerieki z niezwykłą odzieżą, głośną muzyką i bardzo barwną obsługą. Nawet nie wiem kiedy wchodzić do dzielnicy Suburra, niegdyś mrocznej i zapomnianej, dziś bardzo klimatycznej, z wieloma ciekawymi restauracjami i sklepikami. To ostatni przedsięwzięcie przed wyjściem na Via Fiori Imperiali, tuż przy Halach Targowych Trajana. Już widzę przebiegającą się w słońcu Forum Romanum, witam zamykając ulicę Koloseum, rozplątam się w tej wzniosłej codzienności.

Jak zawsze przystaję przy pełnym symboli Ołtarzu Ojczyzny tzw. Vittoriano, przez Włochów zwanym także „maszyną do pisania”. Budynek ten został wzniesiony na cześć króla Viktora Emanuela II. Znajduje się tu Muzeum Zjednoczenia Włoch i Grób Nieznanego Żołnierza, gdzie wciąż płonie ogień. Mieści się tu też taras z widokiem na Forum Romanum i okolicę, na którym kiedyś z małą grupą miałam szczęście być na kameralnym koncercie jazzowym, który zdecydowanie jest wśród wspomnień moich najpiękniejszych. Dla mnie Ołtarz Ojczyzny jest miejscem, przy którym czuję głębokie bycie w Rzymie. To taka wizytówka, punkt obowiązkowy, by powiedzieć miastu cześć, jestem.

Tuż obok znajduje się Bazylika Świętej Marii z Ołtarza Niebios. Prowadzą do niej 124 strome stopnie. Ta ilość ma odzwierciedlać średniowieczny



Fot. Łukasz Pietrzak

pogląd, że zbawienie można osiągnąć tylko po życiu ciężkim i pełnym cierpienia. W opozycji do nich, Michał Anioł zaprojektował schody prowadzące na Kapitol, zwane Kordonatą, zwieńczone posągami Dioskurów – Kastora i Polluksa. Są szerokie i łatwe do przebycia. Powstały w myśl zasady, że ostateczny koniec życia jest ten sam – śmierć i zbawienie, ale droga do niego może być znacznie przyjemniejsza. Pogląd ten jest mi zdecydowanie bliższy, czynami wprowadzam go w życie, radując się każdą możliwą chwilą. Tuż za moimi plecami stoi kamienica, w której swój apartament ma Sophia Loren i miał maestro Morricone. Ileż to razy marzyłam by zobaczyć któregoś z nich choćby w oknie. Kieruję się do Getto Żydowskiego. To mała dzielnica tuż przy Tybrze, powstała już w XVI w. Myślę, że mury tutejszych budynków widziały wiele, w tym wywózkę Żydów do Auschwitz 16 X 43 r., którą upamiętniają imienne kostki wmontowane w bruk. Często pochylałam się nad nimi, oddając pamięć straconym. Wchodzę do niej od strony Fontanny Żółwi, które rzekomo wykonał sam Bernini. Le-

genda głosi, że fontanna owa stanęła tutaj w jedną noc, w efekcie zakładu pomiędzy ojcem panny z rodziny Mattei a jej narzeczonym. Wokół tego placu znajduje się pięć pałaców należących do rodziny Mattei. Docieram do głównego placu. Z pobliskiej szkoły słychać śmiech dzieci, ogródki kawiarniane tętnią życiem. W tle widać Portyk Oktawii i Teatro Marcello, którego budowę rozpoczął Juliusz Cezar. Do dziś pamiętam jeden z wyjazdów, podczas którego pod łukami Teatro Marcello grał mężczyzna na akordeonie. Miejsce, dźwięki i akustyka nie dają temu wspomnieniu zniknąć. W Getto zjem karczocha po rzymsku, wypiję południowe espresso, posiedzę w zadumie, rozkoszując się niezwykłym otoczeniem. W małej żydowskiej cukierni kupię sernik na drogę aby przyjemność sobie przedłużyć. Przejdę obok Synagogi, kierując się na Wyspę Tyberyjską, do której od strony Getto wiedzie most Fabricio, zbudowany w 62 r. p.n.e., zwany także mostem Żydowskim lub mostem Samobójców. Na myśl ile przez wieki przeszło po nim sław i stóp serce bije mi mocniej. Wyspa Tyberyjska



Fot. Łukasz Pietrzak

od wieków obmywana jest przez wody rzeki, obecnie znajduje się tu szpital, kościoły, dwie restauracje i wspaniała lodziarnia. Mieszkańcy miasta często siadają tu w słońcu lub bliżej wody, w cieniu brzoźek, przy kojącym szumie rzeki. Ja lubię zapatrzyć się na Ponte Rotto, jedno przeszło tzw. mostu Zerwanego, który nigdy nie został odbudowany. Stoi dumnie ze swoimi smoczymi rzeźbami, jak wiele innych pomników przeszłości i dawnej świetności.

Popołudnie spędzam na Zatybrzu, zwanym Trastevere, uznawanym za jedną z najbardziej klimatycznych dzielnic Wiecznego Miasta i jedną z najdroższych. Urodził się tu m.in. Ennio Morricone, mieszkał Bernardo Bertolucci, reżyser m.in. filmu *Ukryte pragnienia* i *Ostatnie tango w Paryżu*. Podobno można go było spotkać w zatybrzańskich kawiarenkach.

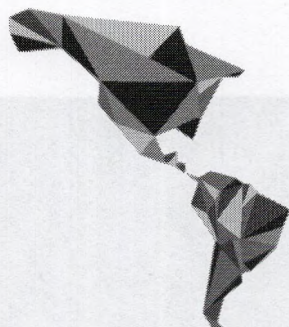
Może odwiedzę dziś też Villę Farnesinę, by zachwycić się freskami Raffaella Santi, a może zajrzę do Galerii Corsini pokłonić się głęboko obrazowi mistrza Caravaggio. Jest tyle możliwości uskrzydlenia swojej duszy! Posiedzę przy

Fontannie di Santa Maria in Trastevere, poprzyglądam się przechodniom, może zjawi się jakiś uliczny artysta... Oprę plecy o ciepłe mury, zadreżę głowę do góry by obejrzeć często niedostrzegane szczyty kamienic. Uszczknę trochę błękitu nieba. Nie ma dwóch takich samych dni w Rzymie, a czasem i znane miejsce innym się jawi. Rozświetlone słońcem czy spowite chmurami, inaczej potrafi wyglądać. Każda aura, każdy mój nastrój inaczej pozwala odbierać mi miasto. Czyż nie pięknym czyni to życie? Brak oczekiwań. Nietrzymanie się planu. Otwarte serce. Gotowość na najsztubtelniejsze doznania. Przyzwolenie na zaskoczenie... To wszystko pozwala czerpać radość i naprawdę głęboko być.

Dzisiejszy spacer zakończę na wzgórzu Eskwilin, z którego wyruszyłam – na placu przy Bazylice Santa Maria Maggiore. Z jej wieży codziennie o 21.00 dzwony biją melodię, która zgodnie z legendą, pomogła odnaleźć drogę do domu zagubionemu dziecku. Przy tych wzniosłe bijących dzwonach zamknę oczy i w poczuciu swojej drogi odnalezionej, czule pożegnaję ten dzień.

Bartosz KLIMCZUK

Latynoskie podejście do koronawirusa

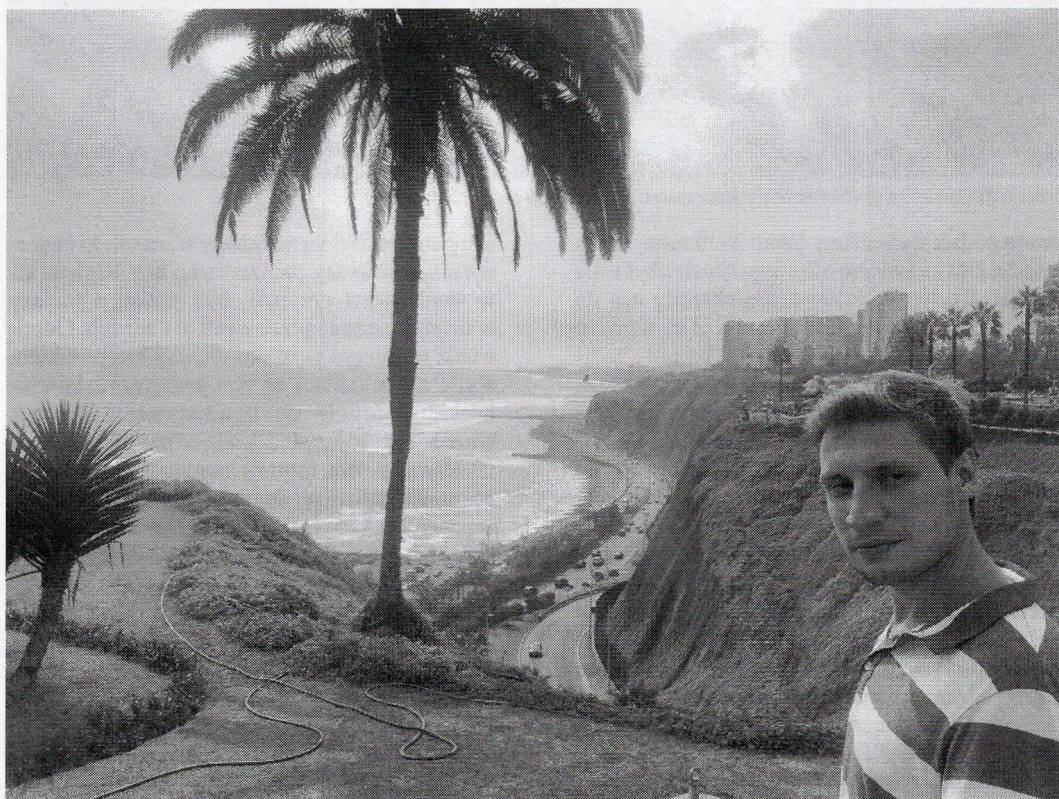


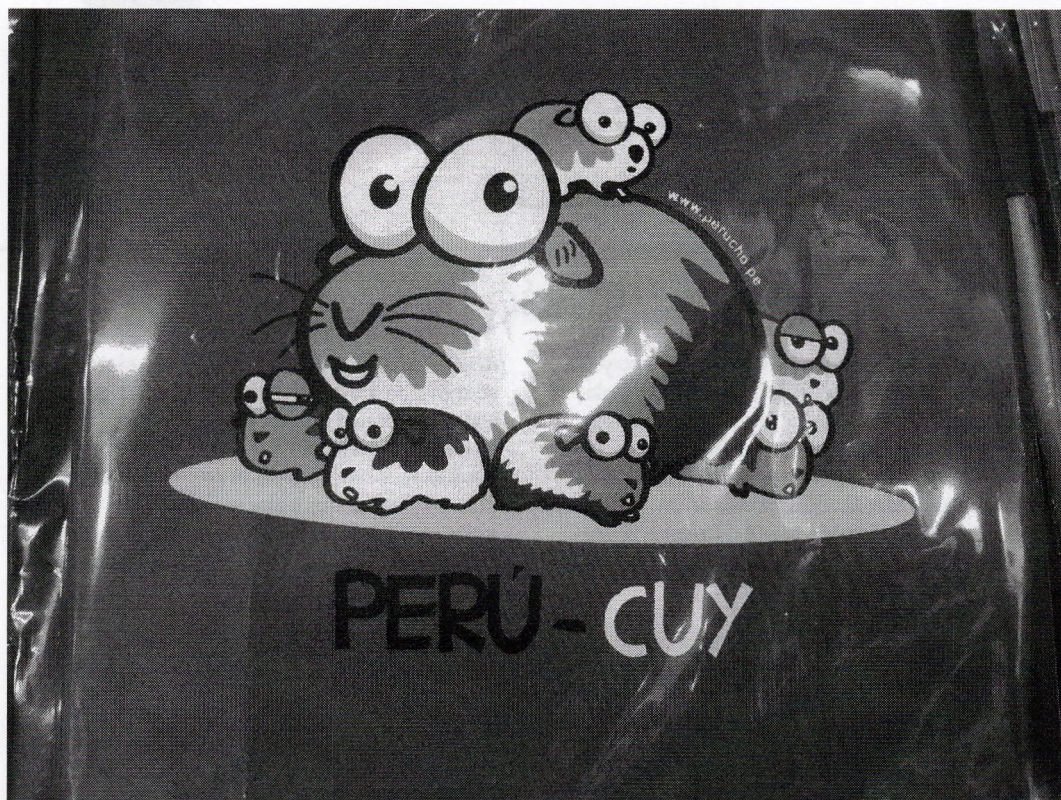
B&B przez Ameryki. Część 10

Gdy koronawirus zaczął pojawiać się na wszystkich kontynentach, setki jeżeli nie tysiące Polaków ze względu na lokalne lockdowny utknęło poza granicami swojego kraju. Nie trudno się dziwić, że wielu z nich (po pewnym czasie także i my) szukało możliwości powrotu do Polski. Starania te niekoniecznie spotkały się ze zrozumieniem w ojczyźnie. „Trzeba było nie wyjeż-

dzać”, „skoro wiedzieli, że wirus się rozprzestrzenia, to po co wyjeżdżali?”, „realizacja zachcianek ponad trzeźwą ocenę sytuacji pandemicznej na świecie” – takie, oraz wiele innych komentarzy można było przeczytać w internecie pod artykułami opisującymi sytuację uwieczonych polskich podróżników. Nas wprawdzie trudno byłoby posądzać o brak wyobraźni, skoro

Lima, stolica Peru





Świnka morska jest najważniejszym zwierzątkiem peruwiańskim

swoją podróż zaczęliśmy latem 2019 roku, kiedy jeszcze nikt na świecie o koronawirusie chyba nie słyszał. Krytyczne komentarze skłoniły nas do przemyśleń, czy mogliśmy domyślać się tego, co się stało potem.

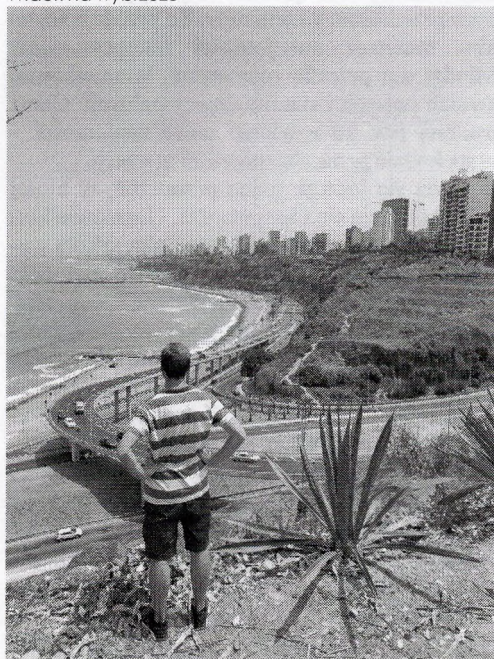
Doniesienia medialne o tym, że coś niedobrego dzieje się w Chinach oczywiście do nas trafiały, ale początkowo podchodziliśmy do tych informacji ze stoickim spokojem. Myśleliśmy, co z całą pewnością nie było wtedy odosobnionym przypadkiem, że sytuacja z pewnością się ustabilizuje i nawet jeśli wirus będzie się rozprzestrzeniał, to głównie na terenie Chin czy Azji. Nie chcielibyśmy się jednak skupiać na tym, co mówiły polskie media, a bardziej na naszych własnych obserwacjach związanych ze stopniowym wprowadzaniem obostrzeń w Ameryce Południowej. Pierwsze symptomy tego, że „coś się dzieje”, zauważyliśmy w lutym zeszłego roku przy okazji przylotu do Kolumbii. Tam na lotni-

sku personel był wyposażony w maseczki i rękawiczki, a wszyscy pasażerowie, bez względu na to skąd akurat przybyli, byli pytani o to, czy w ostatnim czasie przebywali w Chinach. Odpowiedź przecząca wystarczała, aby bez problemu wyjść z terminala. I na tym praktycznie kolumbijskie podejście do powstrzymania koronawirusa się kończyło. Ludzie na ulicach żyli własnym życiem, tłumnie spotykali się, bez skrępowania chodzili na imprezy i korzystali z barów i restauracji. Lokalne media ani słowem nie pisały i nie mówiły o obecności COVID-19 na terenie Kolumbii. Koronawirus był traktowany jako coś bardzo odległego, czego obawiać się muszą przede wszystkim Chińczycy, być może także Europejczycy.

W Ekwadorze sytuacja na ulicach miast i miasteczek wyglądała podobnie. Turystów było pełno, obostrzeń żadnych, wszędzie mniejsze lub większe tłumy. Dało się zauważyć jednak już inne

podejście mediów. Telewizja czy radio non stop mówiły o koronawirusie, nadal jednak praktycznie wyłącznie w kontekście Azji i Europy. Trochę zaniepokoił nas fakt, że ekwadorskie środki masowego przekazu tłumaczyły swoim odbiorcom, że zarazem do ich ojczyzny mogą „przywlec” europejscy turyści. Niektóre stacje telewizyjne niemalże wprost sugerowały widzom, żeby trzymać się od gringos z daleka. Napisalibyśmy, że te komunikaty nie miały absolutnie żadnego przełożenia na rzeczywistość, gdyby nie jeden incydent. Pod koniec pobytu w Ekwadorze postanowiliśmy wybrać się do fryzjera. Już od wejścia właścicielka salonu zmierzyła nas srogim wzrokiem, ale nie padł z jej ust żaden komentarz. Czekając aż będzie wolna, widzieliśmy, że pani w całkowicie normalny sposób obcina Ekwadorczyków. Gdy przyszedła jednak nasza kolej, fryzjerka nie tylko założyła maseczkę, ale również jednorazowe rękawiczki. Po skończonej pracy nad naszymi włosami od razu wyrzuciła wcześniej założone na siebie zabezpieczenie i zabrała się za dezynfekowanie rąk. To był jednak nadal incydent i większość mieszkańców Ekwadoru nie przejmowała się koronawirusem. Przekraczanie granicy z Peru

Widok na wybrzeże



było odrobinę bardziej problematyczne, niż to w Kolumbii. Przed podejściem bowiem do odprawy paszportowej przeprowadzono z nami krótki medyczny wywiad przeprowadzony przez „zamaseczkowanego” pracownika lokalnej służby zdrowia. Gdy stwierdzono (bez jakiegokolwiek badania), że podróżny nie ma żadnych objawów, dostawał protokół z przeprowadzonej rozmowy i zanosił go wraz z paszportem do odprawy. I to praktycznie było na tyle. Peruwian-czyzy podobnie jak Kolumbijczycy i Ekwador-czyzy żyli, pracowali i bawili się jakby na świecie nic złego się nie działo. Europejscy turyści zresztą zachowywali się podobnie. Będąc w stolicy Peru – Limie – przeżywalismy ostatnie chwile naszej błogiej wolności, zanim koronawirusowa rzeczywistość nas z niej brutalnie nie wyrwała. Do tego momentu jeszcze jednak wrócimy. Czas spędzony w Limie wykorzystalismy maksymalnie. Zobaczyliśmy miasto, które, jak zresztą wiele takich w Ameryce Południowej, pełne jest kontrastów. Nasz hostel mieścił się w dzielnicy Miraflores, czyli jednej z najbogatszych i najnowocześniejszych w Limie. Lotnisko jednak ulokowane jest w samym centrum biednej części stolicy, gdzie naprawdę było trudno znaleźć dom, który nie byłby wykonany tylko z gołych cegieł. Spora część mieszkań nie posiadała nawet okien czy drzwi. Można było przeżyć spory szok poznawczy, gdy wyjeżdża się z takiej dzielnicy i trafia do kompletnie innego świata – idealnie przystrzyżonych trawników, wysokich wieżowców ze szkła i stali, ekskluzywnych barów i klubów nocnych czy bardzo drogiej sklepów. Jako, że nasz budżet był raczej ograniczony, kupowanie było wyjątkowo bolesne. Dlatego też szybko podjęliśmy decyzję o tym, że kupować cokolwiek i stołować się będziemy w historycznym centrum miasta, które, mimo iż odwiedzane tłumnie przez turystów, oferowało już znacznie mniej „europejskie ceny”.

Fot. z arch. Bartosza Klimczuka

Katarzyna GRZEGORCZYK

Nastoletnia cybersamotność

Okiem belfra

Za nami kolejne miesiące walki z pandemią, co dla polskich uczniów oznacza zdalną naukę. Jesienią zalogowali się do szkoły online i do dziś pozostają w wirtualnym świecie. To długie dni, tygodnie, miesiące spędzone przed komputerowym monitorem. Oczywiście internet to naturalne środowisko młodych ludzi, ale do tej pory było dodatkiem do życia w realu, a obecnie stało się jego substytutem. Ci młodzi ludzie zamienili szkolną ławkę na domowe biurko, a widok nauczyciela przy tablicy na jego głos płynący z komputerowych głośników. Mała zmiana? Wręcz przeciwnie – kolosalna. Bo za tą zmianą idzie kolejna – szkolnego kolegę, z którym można poplotkować, powyglupiać, pobiegać i pograć w piłkę, też zamieniono na kolegę wirtualnego.

Nauka online może oczywiście być ciekawa, w pewnym stopniu efektywna. Nauczyciele poszukujący różnych metod pracy za pośrednictwem komputera są w stanie skupić uwagę uczniów, wciągnąć ich w interakcję, ale tylko wtedy, gdy lekcja online jest odskocznią od codziennej pracy. Gdy jednak spotkania w wirtualnym świecie stają się normą i rutyną, młodzież nie jest w stanie pracować w zaciśniętym swego domowego stanowiska nauki w pełnym zaangażowaniu. Każdy kolejny dzień sprawia, że motywacji do aktywnej pracy jest mniej. Zatem plan lekcji staje się planem zajęć do odsłuchania.

Jeszcze większym problemem dla młodych ludzi staje się przestrzeń interakcji rówieśniczych. Owszem – rozmawiają za pośrednictwem komunikatorów, ale nie siadają we wspólnej ławce, nie spoglądają sobie w oczy i nie uczą przyjmować ról społecznych. Co doskwiera polskim uczniom po miesiącach pracy online? Przede wszystkim samotność. Zostają w domach sami na długie godziny. Rodzice wychodzą do pracy, a młodzież

rozpoczyna zajęcia w zdalnej szkole. Do późnego popołudnia ich towarzyszem jest komputer. Oczywiście, że po drugiej stronie jest żywy człowiek, ale sztafeta lekcji i brak chęci współpracy ze strony uczniów oznacza, że lekcja to raczej monolog nauczyciela przerywany poleceniami do wykonania. A przerwy? Najistotniejsza część szkolnego życia nie istnieje w zdalnej szkole. Uczniowie przechodzą z jednej wirtualnej klasy do drugiej, ale nie robią tego u boku kolegi. Żadna platforma obsługująca zdalne nauczanie nie przewidywała przestrzeni odpowiadającej szkolnemu korytarzowi.

Efektem nauki online nie jest tylko mniejszy zasób wiedzy i umiejętności dotyczących konkretnych przedmiotów i tematów. To przede wszystkim mniejsze umiejętności interpersonalne. Młodzi nie potrafią rozmawiać, komunikować swoich potrzeb i stanów emocjonalnych. Coraz trudniej jest im zawierać nowe znajomości – przechodzić przez etap nowości w relacji.

Pojawia się jeszcze jedna przestrzeń, w której cyberedukacja się nie sprawdza. Uczniowie klas ósmych muszą podjąć decyzję, jaką szkołę wybrać na przyszłość. Muszą znaleźć swój kierunek, zawód, miejsce do realizacji marzeń i pasji. Niestety ostatnie miesiące nie sprzyjały rozwijaniu zainteresowań. Zamknięcie w domu, odcięcie od pozadomowych i pozaszkolnych aktywności, brak mobilizacji do samorozwoju – wszystko to przynosi efekt w postaci zagubienia ośmoklasistów.

Jacy są zatem dziś polscy uczniowie? Zapewne zmęczeni i znudzeni. Brak im motywacji do działania. Ale przede wszystkim coraz bardziej samotni – zamknięci w czterech ścianach i skupieni na tym, co przynosi im kolejny dzień w szkole online.

ŚREM



Wieści z ratusza

ROZLICZ PIT W ŚREMIE

Wszystkich, którzy mieszkają w gminie Śrem, zachęcamy do rozliczania PIT-ów w Urzędzie Skarbowym w Śremie! Odpis z podatku PIT jest ważnym czynnikiem dochodów gminy. Z tych właśnie dochodów gmina finansuje podejmowane działania:

- utrzymanie przedszkoli i szkół
- inwestycje w infrastrukturę drogową
- utrzymanie porządku oraz zieleni i parków w mieście
- remonty dróg i chodników
- rozbudowa boisk sportowych i stadionu
- prowadzenie komunikacji miejskiej
- funkcjonowanie bibliotek, muzeum czy ŚOK
- finansowanie klubów i stowarzyszeń sportowych czy społecznych

Większa ilość środków finansowych na koncie dochodów gminy Śrem to lepsze warunki i nowe inwestycje w Twoim otoczeniu. Zadbaj o swoje miejsce zamieszkania i wybierz Urząd Skarbowy w Śremie podczas rozliczania własnego pita. Twoje pieniądze wrócą do Ciebie w codzienności, w elementach, z których Ty i Twoja rodzina korzystacie przez cały rok

Rozlicz PIT w Śremie! Twój podatek wróci do Ciebie!

BĘDZIE NOWA EDYCJA BUDŻETU OBYWATELSKIEGO ŚREMU

Burmistrz Śremu informuje o uruchomieniu Budżetu Obywatelskiego Śremu 2022. Będzie to szósta edycja BO w gminie Śrem. Budżet obywatelski umożliwi mieszkańcom gminy zgłaszanie własnych pomysłów, które gmina zrealizuje w następnym roku kalendarzowym. Projekty mogą dotyczyć rozwoju infrastruktury, jak np. budowy ścieżki rowerowej, skate parku,

parkingów, chodników, placów zabaw lub obejmować projekty miękkie: organizację koncertów, wydarzeń kulturalnych, sportowych czy społecznych. W Budżecie Obywatelskim Śremu mogą wziąć udział wszyscy mieszkańcy gminy Śrem. Pula środków finansowych przeznaczonych na Budżet Obywatelski Śremu 2022 wynosi 1 000 000 zł.

W ramach puli wydziela się trzy kategorie projektów:

- ogólnogminne
- lokalne miejskie
- lokalne wiejskie

Koszt realizacji zgłaszanego projektu nie może być wyższy niż 50% środków przeznaczonych na daną kategorię. Taki zapis umożliwia realizację przynajmniej dwóch projektów w każdej kategorii. Harmonogram Budżetu Obywatelskiego Śremu 2022:

- 1–30 czerwca – zgłaszanie projektów
- lipiec/sierpień – weryfikacja projektów
- 17–26 września – głosowanie
- 27 września – ogłoszenie wyników

WARTA ŚREM MA JUŻ 100 LAT!

2 lutego 1921 roku powstał najstarszy klub sportowy w Śremie – Śremski Klub Sportowy „Warta”. Klub od 100 lat tworzy pełną pasję, emocji, sukcesów i wyjątkowych chwil historii wpisaną w Śrem. „Warta” to wysiłek wielu pokoleń mieszkańców Śremu – zawodników, trenerów i działaczy tworzących niepowtarzalną atmosferę wokół sportu. Przez lata pasjonaci sportowej rywalizacji rozwijali wiele dyscyplin w Śremie: piłki nożnej, szermierki, boksu, kolarstwa czy żużla.

Początkowo nazwa klubu brzmiała Klub Sportowy „Błyskawica” w Śremie. Głównym celem utworzenia klubu było powołanie do życia Sekcji

Piłki Nożnej. Nazwa ta uchwałą walnego zebrania z 1924 roku została zmieniona na „Śremski Klub Sportowy”.

Z inicjatywy Józefa Popiałkiewicza, Czesława Gierlińskiego, Adama Wojciechowskiego i Ludwika Kujawskiego 2 lutego 1921 roku zorganizowano zebranie organizacyjne Śremskiego Klubu Sportowego, na którym wybrany został pierwszy zarząd klubu:

Prezes – Józef Popiałkiewicz

Wiceprezes – Edward Worsztynowicz

Sekretarz – Czesław Gierliński

Skarbnik – Ludwik Kujawski

Intendent – Franciszek Olszewski

Pierwszy zarząd w swej pracy miał do pokonania wiele przeszkód. Obok braku środków finansowych na zakup sprzętu treningowego oraz organizowanie imprez sportowych, największą trudność stanowił brak boiska sportowego na terenie miasta Śremu. Zawodnicy musieli rozgrywać mecze piłki nożnej na placu ćwiczeń pod Psarskim, położonym w odległości 2 km od Śremu.

Minione 100 lat to ogromne zmiany: rozwój infrastruktury, działalność różnorodnych sekcji sportowych, zwiększająca się liczba członków klubu,

uruchomienie akademii sportowej dla dzieci.

Historia klubu, wspomnienia i okolicznościowe spoty są dostępne na stronie wartasrem.pl lub na Facebooku.

MASECZKI Z LOGO ŚREMU

W Miejskim Centrum Informacji w Księgarni przy Rynku można kupić maseczki ochronne z logo Śremu. Maseczki wielorazowego użytku, płóciennne, z nadrukiem są w cenie 11 zł / sztukę. Zachęcamy do odwiedzenia księgarni. Oprócz maseczek znajdują się tam inne śremskie materiały: kubki, breloczki, magnesy, puzzle czy komiksy. Adres: Księgarnia przy Rynku, pl. 20 Października 11, 63-100 Śrem

RATOWNICY WODNI OTRZYMALI NOWY SPRZĘT

Miejsko-Powiatowy Oddział WOPR w Śremie z rąk burmistrza Adama Lewandowskiego otrzymał nowy sprzęt ratowniczy. Sprzęt został zakupiony w ramach dofinansowanego zadania pn. „Modernizacja, budowa, rozbudowa obiektów baz ratownictwa wodnego, zakup sprzętu i wyposażenia baz ratownictwa wodnego” z budżetu



Województwa Wielkopolskiego.

Wykaz sprzętu: ratownicza łódź wiosłowa, 3 koła ratownicze z nietoną linką, 2 liny asekuracyjne na kołowrotku, 3 tuby głosowe, 2 akustyczne sygnały ratownicze (gwizdki), 2 środki łączności, 3 rzutki ratownicze, 2 lornetki, 3 zestawy do nurkowania, torba R1+deska ortopedyczna, defibrylator, 2 skrzynie do przechowywania sprzętu, pokrowiec na deskę.

Zakup nowego sprzętu ma na celu podniesienie poziomu bezpieczeństwa osób przebywających i wypoczywających na plaży miejskiej w Śremie nad jeziorem Grzymisławskim. Wartość zadania wynosi niemal 25 000 zł, w tym wkład gminy Śrem to kwota 12 450,10 zł.

ROZPOCZĘŁA SIĘ BUDOWA KŁADKI NAD KANAŁEM ULGI!

Styczeń 2021 roku to data rozpoczęcia budowy kładki nad kanałem ulgi. Pod koniec stycznia na teren budowy wjechały pojazdy budowlane, które rozpoczęły wyrównywanie terenu. Budowa kładki jest częścią dużego projektu realizowanego przez gminę Śrem „Budowa kładki pieszko-rowerowej nad kanałem ulgi rz. Warty wraz ze ścieżką pieszko-rowerową do Zbrudzewa oraz w kierunku Mechlina”. W 2021 roku wykonawcy ruszyli z budową ścieżek rowerowych w kierunku Zbrudzewa. Zainstalowano już nowe oświetlenie, przystanek autobusowy, w dużej części wykonano nawierzchnię ścieżek dla pieszych.

Wartość całej inwestycji wyniesie 12,5 mln zł: 5,3 mln zł to koszt ścieżek rowerowych, 7,1 mln zł – kładki. Projekt współfinansowany jest ze środków Unii Europejskiej w ramach Zintegrowanych Inwestycji Terytorialnych.



MUZEUM

Ś R E M S K I E

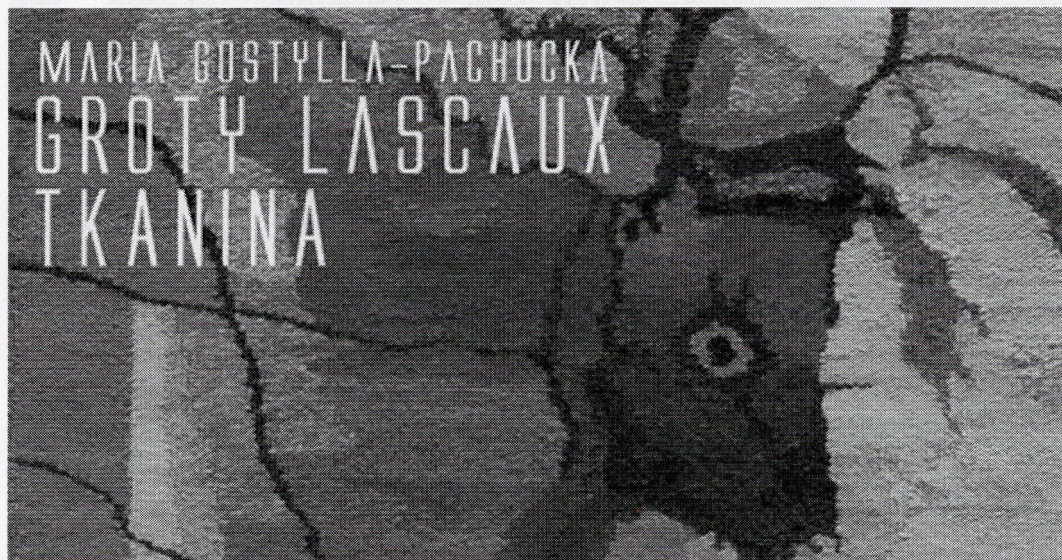
63-100 Śrem
ul. A. Mickiewicza 89
tel/fax: 61 2835938
www.muzeum.srem.pl
e-mail: muzeum@srem.pl

7 marca o godz. 15 Muzeum Śremskie zaprasza na wernisaż wystawy Marii Gostylli-Pachuckiej „Lascaux”. Artystka pokaże tkaniny inspirowane naskalnymi rysunkami z groty Lascaux we Francji. To będzie pierwsza od dłuższego czasu wystawa, która prezentowana będzie w „Akwarium” i dostępna do oglądania nie z zewnątrz.

A oto krótka wizytówka artystki autorstwa Marty Mazurek.

„Wieloletnia członkini wrocławskiej Grupy Tkackiej 10 x TAK oraz grupy francuskich tkaczek Fil en Main łączy w swych pracach niezwykłą wrażliwość na kolory oraz wycucie kompozycji z bogatą paletą możliwości, jaką daje tworzywo, na którym pracuje. Tworzywem tym jest wełna.

Artystka poznała w pełni jej walory, uczestnicząc w kowarskich plenerach tkackich, podczas których – urzeczona jesiennym krajobrazem – realizowała wyróżniające się ciepłem gobeliny z motywami roślinnymi. [...] Tkaniny z wełny tworzone przez artystkę urzekają swoją przejrzystością i pozorną prostotą, eksponując walory wykorzystywanego tworzywa. W pracy artystka łączy różne rodzaje splotów; gobelinowy, dywanowy, sumak, czasem pojawiają się elementy przypominające powrozy. Kompozycje buduje na zasadzie powtarzalności rytmów, zamknięte u dołu owalem przypominającym kształt instrumentu. Świadczą o wpływie muzyki, która jest drugą pasją artystki.”

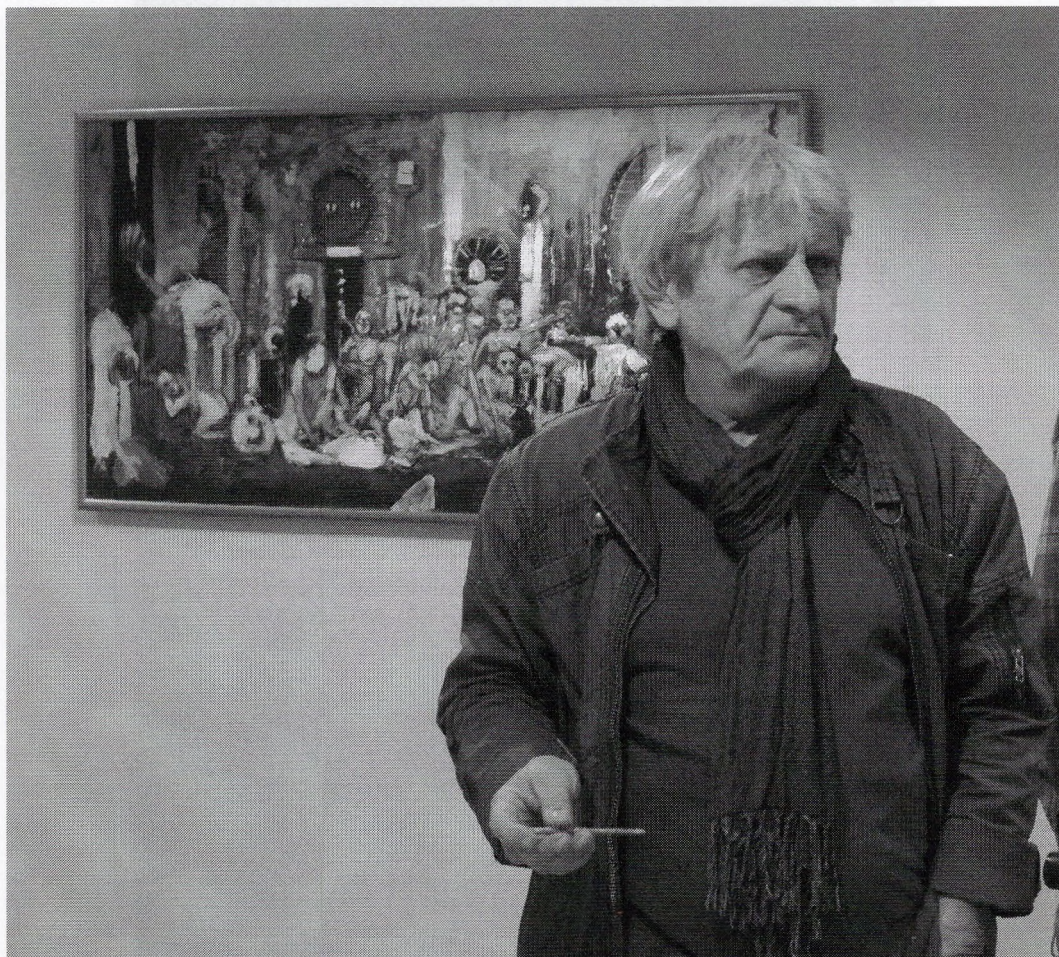


Dziwny świat Tadeusza Sobkowiaka

„Podróżnik w czasoprzestrzeni osobistej. Malarz światel i cieni, lasów i łąk, plaż i nieba, stworów dziwnych i straszliwych zarazem, liści i gałęzi, tajemnych okrętów i nieodkrytych lądów. Poszukiwacz sekretu życia i śmierci, bytów nieodgadnionych, zagubionych mitów i legend wszelakich. Wielość głosów, teoretycznie sobie obcych i antagonistycznych, staram się scalić malarsko w jednej miłosnej pieśni Życia. Twórca baśni przyrody, baśni universum, wsłuchany

w śpiew wiatru i wielorybów, ożywiający kamienie i usypiający lęki. Świat, jako wielowarstwowa struktura istot powiązanych kosmiczną pępowiną oraz wnikanie w naturę rzeczy, to główny kierunek moich poszukiwań twórczych”. Tak pisze o sobie sam artysta. A na wystawę obrazów Tadeusza Sobkowiaka zapraszamy już w kwietniu. Dokładny termin otwarcia wystawy podany zostanie na stronie FB Muzeum Śremskiego oraz w lokalnej prasie.

Fot. z arch. Tadeusza Sobkowiaka



A MOŻE...

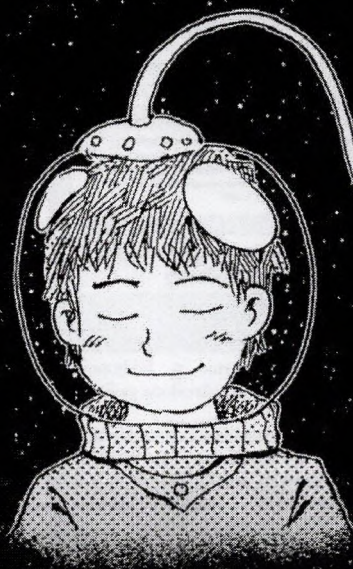
SEANS NA ŻYCZENIE?



Zadzwoń i zamów seans specjalnie dla
rodziny, przyjaciół, współpracowników,
uczniów lub podopiecznych
(minimalna liczba uczestników: 30 osób)

Szczegóły pod numerem telefonu: 61 28 35 904
i 61 28 30 710 lub adresem e-mail: kinoteatrslonko@gmail.com

LEKTURY



NA DUŻYM EKRANIE

Połącz przyjemne z pożytecznym
i zobacz ekranizacje lektur szkolnych,
na dużym ekranie w Kinoteatrze Słonko.

Oferta skierowana do szkół podstawowych oraz średnich

Szczegółowe informacje pod numerem telefonu 61 28 35 904
i 61 28 30 710 oraz e-mail - kinoteatrslonko@gmail.com



Biblioteka

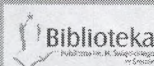
Publiczna im. H. Świątcickiego
w Śremie

63-100 Śrem
ul. Grunwaldzka 10
tel: 61 2835467, fax: 61 2837774
www.biblioteka.srem.pl
e-mail: info@biblioteka.srem.pl

ACADEMICA
WYPOŻYCZALNIA



**BIBLIOTEKA
NARODOWA**



CYFROWA WYPOŻYCZALNIA
PUBLIKACJI NAUKOWYCH
BIBLIOTEKI NARODOWEJ

Academica – administrowany przez Bibliotekę Narodową polski system cyfrowych wypożyczeń międzybibliotecznych pełniący także funkcję biblioteki cyfrowej. Celem Akademiki jest zastąpienie tradycyjnej formy wypożyczeń międzybibliotecznych, polegającej na przesyłaniu pocztą publikacji drukowanych, wypożyczeniami cyfrowymi. Katorzyna Ślaska, Akademika jako nowa jakość w systemie wypożyczeń międzybibliotecznych, „Przegląd Biblioteczny”, 82 (4), 2014, s. 509

W czytelni Biblioteki Publicznej w Śremie, na specjalnym terminalu, można przeglądać chronione prawem autorskim zasoby cyfrowe Biblioteki Narodowej

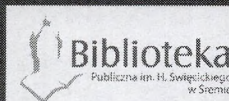
*PODRECZNIKI AKADEMICKIE *PRACE POPULARNO-NAUKOWE
*LEKTURY NA KONKURSY PRZEDMIOTOWE *CZASOPISMA NAUKOWE

Rejestracji użytkownika w systemie Academica dokonuje się wyłącznie w bibliotece. Zarejestrowany użytkownik może zarezerwować online wybrane publikacje na określoną godzinę. Można zarezerwować maksymalnie 10 publikacji.

Na stronie <https://academica.edu.pl/> w katalogu można sprawdzić dostępność poszukiwanej pozycji oraz dostępność terminala w naszej bibliotece. Nie ma możliwości zapisywania i drukowania chronionych utworów, dozwolone jest jednak wykonywanie kopii poprzez robienie zdjęć ekranu, za pomocą aparatów fotograficznych lub innych urządzeń zgodnie z zapisem o dozwolonym użytku osobistym. Potrzebę skorzystania z terminala bibliotecznego prosimy zgłaszać pod adresem: czytelnia@biblioteka.srem.pl

Legimi

60 000
ebooksów i audiobooków
bez limitu

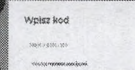
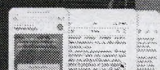


CZYTELNICY BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ W ŚREMIE MOGĄ MIEĆ DOSTĘP DO WIELU NOWOŚCI I BESTSELLERÓW (ALE I STARSZYCH TYTUŁÓW) Z BELETRYSTYKI, LITERATURY FAKTU I INNYCH POPULARNYCH KATEGORII UDOSTĘPNIANYCH PRZEZ PORTAL LEGIMI.COM

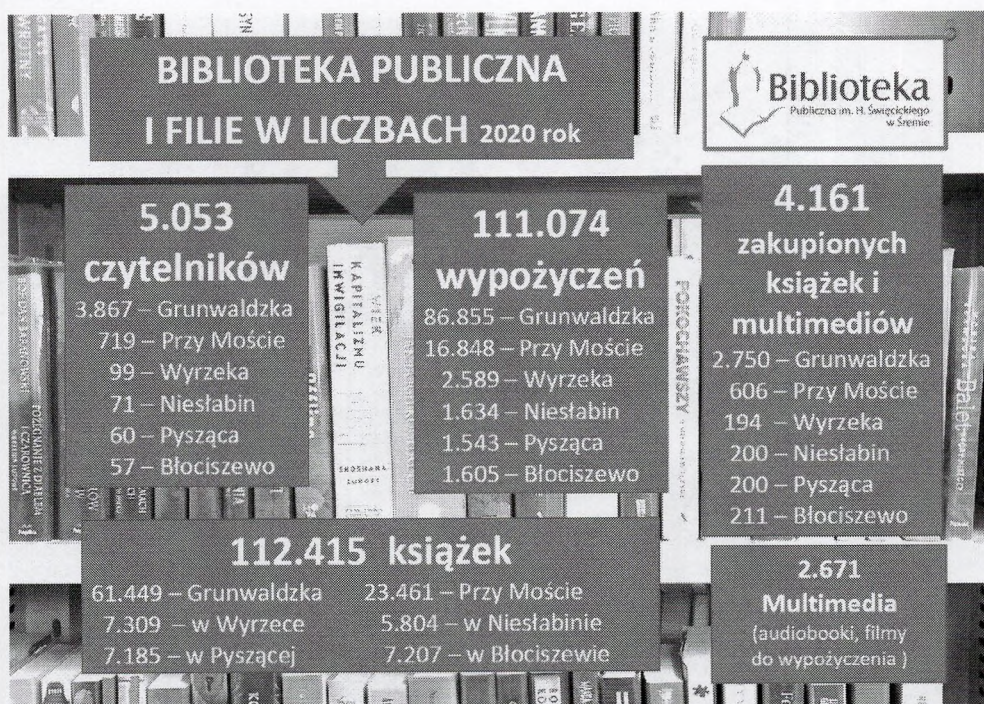
Wystarczy, na podstawie otrzymanego w bibliotece kodu, założyć konto i pobrać bezpłatną aplikację Legimi. Wówczas wszystkie e-książki dostępne w abonamencie będzie można czytać na smartfonie, tablecie, komputerze lub czytniku. Oczywiście za darmo. Warunkiem jest posiadanie ważnej karty bibliotecznej.

Zapraszamy do wypożyczalni dla dorosłych w celu otrzymania kodu i instrukcji. Rejestrujemy się (zakładamy konto) w Legimi na stronie: http://www.legimi.pl/bp_srem/ podając otrzymany kod, a następnie nazwę użytkownika, adres e-mail (na który przesłany zostanie przez Legimi email z linkiem aktywacyjnym, w który należy kliknąć) i hasło. Od tego momentu można korzystać z usługi przez 30 dni.

Wypożyczaj i czytaj
ebooki bez limitu.



<https://www.facebook.com/legimi>



Projekt organizowany w roku 2018

z Książka na STAR

Zabierz dziecko do biblioteki i odbierz książkę w prezencie

W PROJEKcie UCZESTNICZY BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. H. SŁOWACKIEGO W ŚREMIE
POCZĄTEK PROJEKTU: WRZESIEŃ 2019 (info: www.wielki-czlowiek.pl)

Celem projektu „Mała Książka – Wielki Człowiek”, organizowanego przez Instytut Książki, jest popularyzacja czytelnictwa wśród dzieci w wieku przedszkolnym. W ramach Projektu dzieciom wydawane są tzw. Wyprawki Czytelnicze, składające się z Karty Małego Czytelnika, naklejek oraz książki wraz z broszurą dla rodziców.

MAŁA KSIĄŻKA WIELKI CZŁOWIEK CZEKAMY NA WAS W BIBLIOTECE

Kampania „Mała Książka – Wielki Człowiek” rozpoczęła się we wrześniu 2018 roku i trwa nadal. Akcja ma zachęcić rodziców do odwiedzania bibliotek i codziennego czytania z dzieckiem. Za każdą wizytę w bibliotece, zakończoną wypożyczeniem minimum jednej książki z księgozbioru dziecięcego, Mały Czytelnik otrzyma naklejkę, a po zebraniu dziesięciu zostanie uhonorowany imiennym dyplomem potwierdzającym jego czytelnicze zainteresowania. Dzięki akcji dziecko pozna ważne miejsce na czytelniczej mapie dzieciństwa i zostanie pełnoprawnym uczestnikiem życia kulturalnego.

Kampania społeczna „Mała książka – wielki człowiek” została dofinansowana przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach Narodowego Programu Rozwoju Czytelnictwa.



Gospodarstwo przy torach w Radoszkowie, rys. Tomasz Mazurczak

Gazeta Śremska

siedziba redakcji – Muzeum Śremskie
63-100 Śrem, ul. A. Mickiewicza 89
tel: 61 2835938, kom: 533 875 030
e-mail: gazeta@muzeum.srem.pl, www.muzeum.srem.pl

Wydawca:

Muzeum Śremskie; 63-100 Śrem, ul. A. Mickiewicza 89
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń
i reklam oraz zmiany programów i terminów
wprowadzone po oddaniu numeru do druku.

Redagują:

Mariusz KONDZIELA (redaktor naczelny)
Ewa NOWAK (redaktor prowadząca)
Katarzyna TOMCZAK (korekta)

Na okładce:

I – Fot. Irena Krzeszewska
IV – Fot. Piotr Pieczykolan

Skład:

Samuel Bednarski

Druk:

via drukomatic.pl

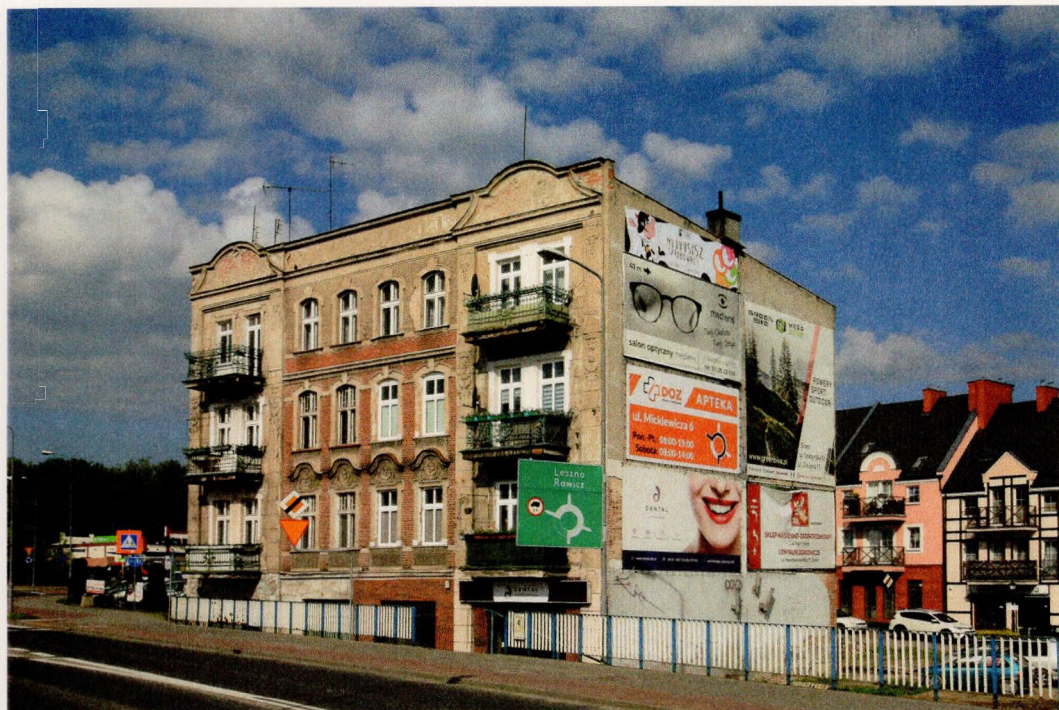
jest,
było,
się mówiło

KILIŃSKIEGO 1

Dom mieszkalno-handlowy z początku XX w.
Wybudowany przez skarbnika miejskiego
Marcelego Komendzińskiego.



Fot. ze zbiorów Muzeum Śremskiego



Fot. Piotr Pieczykolan, 2020



7476
03
tC
9